

PRACA

Przedpłata w Poznaniu
już z odnośzeniem
tylko 1 markę na kwartał.

Tygodnik dla wszystkich stanów {na pocztach tylko 1 markę
kwartalnie.

poświęcony sprawom handlu, przemysłu i rolnictwa.

„Praca“ zapisana jest na poczcie w oddziale II, t. 86.

Nadesłane

50 fen. od wiersza.

Redakcja i Administracja przy ul. Rycerskiej Nr. 38. Telefon Nr. 295.

Pojedynczy numer „Pracy“ nabyć można za 15 fen. z franko przesyłką 20 fen.

Ogłoszenia zwykłe

20 fen. od wiersza.

Najprzewiel. Ks. Arcypasterz Floryan Stablewski, jego mowa gnieźnieńska i list arcypasterski.

Gdy dostojnicy najwyższe zajmą stanowiska objawiają głębokie pojęcie o zadaniach sobie poruczonych, żywe a wielostronne zainteresowanie się sprawami społeczeństwa, wśród którego im działać wypada i z całą sumiennością spełniają wysokie swe obowiązki wtedy suma ich czynów publicznych tym większą przynosi im chwałę, im większą ich odpowiedzialność i im wyższe stanowisko. Cóż mówić dopiero o mężach, którzy do najwyższych przeznaczeni dostojestw, jednocześnie z wielkim brzemieniem obowiązków przejmują ciężar nieprzeliczonych kolizji, do których rozwikłania nie wystarcza samo rozpoznawanie wysokich powinności, i ciężar przeszkód, do których pokonania wyjątkowo światłego potrzeba rozumu. A właśnie wśród obecnego ukształtowania politycznego w monarchii pruskiej nad tronem arcypasterskim w Poznaniu tak gęsta i tak pogmatwana rozpięta się przedza sprzecznych interesów i zawikłań, że pomijając wysoki zaszczyt piastowania tego dostojestwa, uznać trzeba z góry za wielkie poświęcenie i wielką zasługę sprawowanie tych mozolnych, wyczerpujących funkcji.

Najprzewielebniejszy Ks. Arcybiskup Floryan Stablewski jest jednym z tych właśnie wyjątkowych, szerokim poglądem i wielką bystrością udarzonych mężów, których umysł starczy nie tylko na proste, spokojne, normalnymi stosunkami uwarunkowane spełnianie obowiązków, lecz także na pokonywanie przeszkód i trudności, zgotowywanych z jednej strony siłą przeciwdziałającą interesom polskiej diecezji a z drugiej spośród

diecezjan prądem niechętym płytko wprowadzie, a'e zawzięcie podmywającym choćby najlepsze intencje. Działalność dzisiejszej Głowy archidiecezji gnieźnieńsko-poznańskiej, nie jest tematem nadającym się do publicystycznej dyskusji, a dlatego poprzestajemy na tej krótkiej wzmiance, do której



Ks. Arcybiskup Fr. Stablewski.

nas zachęciło wspomnienie mowy wygłoszonej przez naszego Arcypasterza z okazji uroczystości jubileuszowej w Gnieźnie i list pasterski, wydany do „Duchowieństwa i Wiernych“ pod koniec zeszłego miesiąca.

W świetnej, pełnej krasonówce i piękności mowie odezwało się dalekiem,

lecz żywym echem wspomnienie owych chwil podniosłych, kiedy naród nasz indywidualnością plemienną coraz silniejszy nabierał nowych potężnych pierwiastków obyczajowych z skarbnicy wiary chrześcijańskiej za przyczyną mężów jak Cyryl i Metody a później jak męczennik chrześcijaństwa św. Wojciech. W słowach wymownych Najprzewielebniejszego Ks. Arcypasterza odżyły w wyobraźni wiernych postaci Mieczysława I i Dąbrowki, owe imienne pomniki nowych cywilizacyjnych wyobrażeń w ojczyźnie naszej.

List zaś arcypasterski znowu, zawierający wspomnienie o przyjaźni łączącej nas niegdyś z cesarzem niemieckim, Ottonem III i o historycznej pielgrzymce jego do Gniezna, przywiódł nam na myśl owe czasy, gdy wyobrażenia w Niemczech spoczywały istotnie na fundamencie chrześcijańskich zasad, gdy w państwie tym pod berłem wielkodusznych monarchów wrogie, nietoleranckie względem obcych narodowości prądy ani nawet pojawić się nie śmiały, a pierwiastki jakiegobądź szowinizmu i nieludzkich instynktów marniały w atmosferze szlachetnej i pełnej światła, jak miasmy chorobotwórcze i zgubne marnieją. Mimowoli refleksje takie ogarniają umysły, gdy się słucha lub czyta te wymowne wspomnienia, jakie ks. Arcypasterz poświęcił owym podniosłym chwilom, wspomnienia brzmiące już nam nieledwie jako baśnie, nam patrzącym ustawicznie na coraz nowe wybryki i szaleństwa hakatyzmu rozkiełzanego na uragowisko chrześcijaństwu w bezpośrednim naszym oto-

czeniu. Hakatyści pewnoby wydrzeć radzi z księgi dziejowej owe karty świetnie zapisane, które im psuć muszą rozpasaną, na nasze zatracenie silącą się fantazyę.

Takie oto myśli garną się do głowy, gdy się czyta w zapiskach dziejowe wzmianki w mowie i liście Najprzewielebniejszego Ks. Arcypasterza, a myśli te przez wszelkie machinacje nam wrogie ożywiają nadzieję, że kiedyś pleśń opadnie i niezdrawisko zniknie, a wybudują nowe gałązki pokoju z chrześcijańskich pierwiastków, pielęgowanych dla naszego dobra staranną i umiejętną ręką pierwszego Dostojnika naszej archidiecezyi.

Zjazd

centralnego Komitetu wyborczego na Prusy Zachodnie wraz z delegatami.

Stosunki obywatelskie wśród społeczeństwa polskiego Prus Zachodnich są zdrowsze i szczęśliwsze niż w naszej dzielnicy. Nie ma tam ani osobistych zawziętości, gdy chodzi o interesy publiczne, ani uprzedzeń stanowych, ani wreszcie partykularystycznych, odłamowych dążeń wobec wielkich narodowych potrzeb i niedomażeń. Przyczyny pomyślniejszego ustroju nie należy szukać ani w większym patryotyzmie, ani w większej ogólnej dojrzałości politycznej naszych braci zachodnio-pruskich, ani też w za-

dnym warunkach zewnętrznych, mogących wywierać wpływy swoje na wewnętrzną konfiguracją społeczeństwa, ale chyba tylko w tym szczęśliwym fakecie, że tam nie było po prostu obywateli, którzyby uwidzenia postronne i zachcenia osobiste stawiali koniecznie na równi ze społeczną sprawą lub wyżej jeszcze ponad narodowe postulaty.

Zjazd Komitetu centralnego wraz z delegatami Komitetów powiatowych wyborczych, zwołany na dzień 4 bm. do Grudziądza potwierdza najzupełniej to, cośmy zaraz z początku zaznaczyli. Na tym zjeździe wystąpił Komitet centralny z trzema projektami a dyskusye nad nimi rzuciły sutą smugę światła na stan rzeczy w Zachodnich Prusach i jednocześnie wykazały, że nawet nad kwestyami bardzo drażliwymi u nas obradować można razem, zupełnie razem i spokojnem traktowaniem przedmiotu dojść do właściwego rezultatu.

Po zagajeniu zjazdu przez jednego z najgorliwszych i najgodniejszych obywateli naszych, p. E. Parczewskiego z Belna, wybrano przewodniczącym ks. prob. Odrowskiego z Nawry. Poszczególne powiaty zastępowali delegaci następujący: powiat sztumski p. Michalski z Ramz i p. dr. Morawski z Szumu, pow. brodnicki ks. Bold i p. Różycki z Wlewska, lubawski p. Kawczyński, wąbrzeski p. K. Ślaski, chełmiński p. L. Ślaski, toruński ks. prob. Odrowski, miasto Gdańsk p. Czyżewski, powiat gdański p. Kulerski, staro-

gardzki p. Kalkstein, wejherowski p. Miłski, pucki p. poseł prof. Schroeder, kartuzki p. L. Lniski z Grzebieńca, chojnicki p. poseł Wład. Wolszlegier, człuchowski p. Lemańczyk, złotowski p. Prądzyński z Skarpy, kwidziński ks. dziekan Odrowski z Pieniążkowa; brakło delegatów z powiatów: świeckiego, grudziądzkiego, tczewskiego, tucholskiego, olsztyńskiego (na Warmii). Kościerski powiat miał swych reprezentantów: ks. prob. Thokarskiego i Tempkiego, którzy atoli później głosu nie zabierali z powodu zakwestyjonowania formalnościowego ze strony p. Kulerskiego.

Z trzech propozycji Komitetu centralnego przyszedł nasamprzód pod obrady projekt tej treści, że gdy potrzeba dozwolonem ma być przy wyborach do sejmu zawieranie kompromisów nawet w tych wypadkach, w których na rzecz kandydata polskiego nie dałoby się niczego wytargować, ale w których natomiast przez kompromis możnaby zapobiedz większemu złemu, t. j. przeszkodzić wyborowi posła Niemca, występującego z większą zaciekłością przeciwko naszym interesom. Obszerna następnie dyskusya zakończyła się przyjęciem powyższej propozycji centralnego Komitetu.

Drugi projekt wskazywał, komu należy nadać prawo do zawierania kompromisów, a dyskusya nad nim, osobliwie dzięki rozumnemu wnioskowi posła L. Czarlińskiego, miała wynik ten, że mocą uchwały zjazdu, kompro-

(Przedruk wzbroniony.)

Dwie siostry.

Powieść oryginalna

napisana dla „Pracy“ przez M. P.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ TRZECI.

Hrabia de Saint-Ermond.

Słońce ukazało się w dolinie Paillon, wieniec aureolą różową wierzchołki gór, lasy sosnowe i nowe fortyfikacje, groźnie sterczące na skałach.

W głębi owej doliny, na wzgórzach Cimet, mieszkańcy willi już się budzili, weseli, niż kiedykolwiek; był to bowiem dzień karnawału — słynnego karnawału nicejskiego, który do dziś zachował tradycje dawnych szaleństw, walkę kwiatów, maskarady, corso i bale maskowe.

Małe córeczki hrabiego de Saint-Ermond, Germana i Emilka, czyli Mana i Lilli, wstały bardzo wcześnie i nie czekając ani na matkę, ani na bonę, pobiegły na balkon opleciony powojami i cieszyły się pogodą i słońcem. Potem zająrzały

cichuteńko do pokoju matki, nie chcąc jej budzić — wiedziały bowiem, że nad ranem dopiero usypia. Dziś jednak hrabina już nie spała. Z wesołym uśmiechem pobiegły ku niej dzieci, zazdroszcząc sobie nawzajem serdecznych pieczęci matki.

Mana starsza i rozsądniejsza wiedziała, że mama bardzo jest chora, Lilli zaś, nie przeczuwając, jak okrutnymi są jej słowa, mówiła z całą swobodą swawolnego dziecka:

„Jakaś ty blada, mamó! A twarz twoja taka gorąca!“

Lzy stanęły w oczach hrabiny. Musiała poprawdy okropnie już wyglądać, jeżeli to podpadło jej małej, czteroletniej córeczce. Straszna, nieubłagana choroba płuc zabijała ją z wolna. Mana widząc lzy w oczach matki, pragnęła ją pocieszyć i rzekła:

„Powieм papie, że się już obudziła!“

„Nie, nie! O, nie!“

Hrabina mówiła prędko, gorączkowo — w ciągu bowiem bezsennej nocy była kilka razy w pokoju męża i wiedziała, że dziś w ogóle nie wrócił do domu.

„Papa wyjechał już do Nicei“, rzekła, wstydząc się w duszy tego niewinnego kłamstwa.

Potem zadzwoniła na służącą. Zbyt była słabą, aby się mogła sama ubrać, a trzeba jej się było dziś spieszyć, hrabia bowiem mógł wrócić każdej chwili. Pragnęła przedewszystkiem zatrzeć ślady cierpienia, pomimo śmierci, krążacej nad nią, nie przestawała być zalotną o tyle, aby się mężowi podobać aż do końca.

Twarz jej nie była piękną, ale pełną niewysłowionego wdzięku; oczy wielkie, łagodne, nieco już przygasłe, wyrażały niezmierną dobroć i szczerść. Zawsze kochająca i wierna, pozostała nią, pomimo wesołego życia męża, a uśmiech i pieśczęta jego największem jej były szczęściem. Nie czuła już zazdrości, wiedziała, że mąż jej, młody, chce użyć życia i wierzyła święcie w to, co jej opowiadał o uprawianiu wszelkiego rodzaju sportu, o wycieczkach z znajomymi, o obiadach w klubie, a nawet raz po raz o grze w ruletę w Monte Carlo. Zresztą niepotrzebował wysilać się na wiele wybiegów — każde jego słowo było dla niej wyrocznią!

Dziś czuła się znacznie silniejszą; lekki rumieniec zdołał jej bladą zwykle twarz i oczy jaśniej błyszczały. Patrzała w zwierciadło na siebie zadowolona i uśmiechnięta, powtarzając bezmyślnie:

Kalinowski & Dychtowiec — Poznań, Stary Rynek 5354 (przy narożniku Starożytnego Rynku i Jezuickiej ulicy)

Hurtowny i detaliczny handel bławatów, płótna, stołowizny i fabryka bielizny.

Rzetelna i skora usługa. — Ceny tanie lecz stałe. — System gotówkowy.

misy zawierać wolno Komitetom powiatowym w porozumieniu z centralnym Komitetem wyborczym i Kołem polskim w Berlinie.

Projekt trzeci wreszcie, nakładający na komitety powiatowe obowiązek zbierania potrzebnych materiałów wyborczych, przyjęto po krótkich debatach.

Jeżeli spokojne rozwiązanie drażliwej kwestji zawierania kompromisów, zgodnym w rezultacie charakterem swoim, sprawia wrażenie zdrowszych w dzielnicy zachodniopruskiej stosunków, to następne debaty nad sprawą powiększenia liczby członków komitetu centralnego nasuwają nam pytanie, dlaczego to właściwie u nas w obec wspólnych, piekących potrzeb, zwady i niesnaski się nie kończą?

Pan Kulerski, redaktor „Gazety Grudziądzkiej“ wystąpił z żądaniem, ażeby wyborczy komitet centralny zwiększyć liczebnie i wprowadzić do niego reprezentantów wszystkich stanów. Wszyscy znamienitsi obywatele, obecni na zjeździe, a mianowicie poseł ks. dr. Wolszlegier, pp. Parczewski, Czarliński i Działowski przemawiali w duchu prawdziwie obywatelskim, za ideą powołania do centralnej akcji wyborczej przedstawicieli wszystkich stanów i wyrazili gotowość do złożenia trudnych obowiązków, skoro tylko się znajdą w sferach ludowych kandydaci zdolni, chętni i gorliwi, którzy zechcą je przejąć. Oto dowód żywy, publicznie dany, że przecież szlachta

nasza nie upiera się przy sterze społecznej nawy, że pragnie kierownice spraw naszych widzieć w ręku młodszej braci, że nawet będzie dumna z tego, gdy ta bracia młodsza już do przednich funkcji niezbędne objawi siły i niezbędne poświęcenie — a więc pocóż tę szlachtę malować uprzedzoną, despotyczną, krzywdzącą interesy społeczne?

Dalsze debaty wyjaśniły kwalifikacye sfer ludowych w tym niepocieszającym sensie, że w nich jeszcze mało jest mężów przygotowanych dostatecznie i zdolnych do podjęcia trudnych kierowniczych zadań i że należy jeszcze zgodnie a rozumnie nad większym wyrobieniem tych klas pracować, które swą masą naszą siłę stanowią.

Do wyjaśnienia tego faktu głównie przyczynił się obywatel, znany z ludowych demokratycznych zasad, redaktor „Gazety Gdańskiej“, p. Miński, a wynikiem debaty nad kwestją poruszoną przez p. Kulerskiego było, że odpowiednich kandydatów z pośród szerszych warstw zachodniopruskiego społeczeństwa nie można było wskazać, a powiększenie komitetu uznano za zmianę, któraby osłabiła sprężystość działania centralnego komitetu.

Mamy żywą nadzieję i zaufanie do zachodnioprusaków, że po gruntownych tych obradach na zjeździe grudziądzkim nikt dla osobistej zachcianki nie będzie wyszukiwał niechętnych i zamiast przygarniać odlamywał ich od wspólnej pracy pod

hasłem „ruchu ludowego“. Uczmy się od braci zachodniopruskich!

Obrona prawna.

Od jednego z naszych czytelników odbieramy następujące godne uwagi pismo:

„W jednym z ostatnich numerów Waszego pisma znalazłem następującą wzmiankę:“

„Huragan hakatystyczny huczy po naszych ziemiach, bojkot niebawem podkopie nasze siły ekonomiczne, prasa niemiecka instyguje na nas z coraz większym skutkiem, prasa naszej kneblują usta, swobody obywatelskie ścieśniane nam bywają z dniem każdym, a tu nikt nie pomyśli o zorganizowaniu jakiej skuteczniejszej obrony, aniżeli nią jest tyralierskie ostrzeliwanie się naszej prasy“.

Słuszna ta uwaga spowodowała mnie do zabrania głosu w waszym piśmie, wiem bowiem dobrze, że „Praca“ jako pismo bezstronne i ponad stronnictwami stojące służy każdej poczciwej sprawie, z kądkolwiekby inicjatywa wychodziła, a głos jej dla tego chętniej po wszystkich stronach wysłuchają.

Już dawno uważam, że istotnie tyralierskie ostrzeliwanie się naszej prasy wobec wzmagającego się coraz bardziej huraganu hakatystycznego zbyt niedostatecznym jest środkiem naszej samoobrony i że będzie trzeba obmyślić środki racjonalniejsze i skuteczniejsze.

Zważmy bowiem, że hakatyzm zmobilizował przeciw nam ogromną większość opinii publicznej w Niemczech, że pod sztandary swoje zaciągnął kilkanaście tysięcy talimipatryotów niemieckich, którzy na tem polu pragną sobie zdobyć ostrogi i brzęczące uznanie, że po wszystkich prawie miastach i miasteczkach w zie-

„Gdyby mnie chciał zaprowadzić na Corso!“

Nagle usłyszała szelest w ogrodzie i pobiegła na balkon. Ale uśmiech znikł z jej ust i twarz stała się posępną i smutną.

„Mój brat!“ szepnęła. „Po co on znów przychodzi?“

Niestety, wiedziała aż nadto dobrze, po co! Otóż po to, aby jej wyrzucić zbyteczną pobłażliwość względem męża i żeby jej opowiadać o złych jego czynach, w które ona naturalnie nie wierzy! To też, pomimo, że kochała brata, lękała się zawsze jego wizyt. Poważna i pozornie spokojna, wyszła do sieni, aby go powitać.

Baron Wawrzyniec Demoret, bankier, nie wyglądał wcale arystokratycznie. Nizki, otyły, miał twarz równie łagodną jak siostra, ale dosyć pospolitą, a jasno niebieskie oczy jego patrzyły spokojnie na świat i ludzi.

„Jakże się cieszę, że cię widzę!“ zawołała hrabina, prowadząc go do saloniku leżącego po drugiej stronie domu. Obawiała się, że mąż wróci każdej chwili i nie chciała, aby to brat widział.

„Od kiedy jesteś w Nicei?“ pytała dalej. „Czy żona twoja i Hubert przyjechali także? Dlaczego nie stanęliście u nas? Chcecie użyć karnawału? U nas

w Cimier tak cicho i spokojnie, jak gdybyśmy o sto mil byli oddaleni od Nicei!“

Wawrzyniec Demoret uśmiechnął się lekko.

„Przybyłem tu rzeczywiście pod pozorem zabawienia się“, rzekł poważnie, „ale przede wszystkim chodziło mi o to, aby się z tobą stanowczo — raz jeszcze rozmówić. Mąż twój...“

„Ach!“ przerwała hrabina niecierpliwie, „ja męża mego kocham bardzo i ufam mu zupełnie. Wiesz o tem oddawna. Mówmy lepiej o czem innym“.

„Żałuję bardzo, że nie mogę wypełnić twego życzenia. Zadam ci nową boleść, ale uważam sobie za obowiązek powiedzenia ci, że Hélier zdradza cię niegodnie...“

„Milez!“

„Tak jest! Zapytaj go, jeżeli masz dosyć odwagi, gdzie był wczorajszego wieczora w Cannes?“

„Dosyć, na Boga! Chociażby to było prawdą, to nie masz prawa mówić mi o tem i zatruwać ostatnich dni mego życia! Proszę cię, miej wzgląd na mnie!“

„Nie! Muszę ci zerwać zasłonę z oczu. Hélier gra, traci majątek...“

„Ach, cóż to szkodzi! Wszakże mamy u ciebie jeszcze trzy miliony, które ciotka

zapisala moim córkom. Tych pieniędzy brat nie wolno, a procenta należą wyłącznie do mnie!“

„Tak, na te trzy miliony czycha twój mąż oddawna. Pytał nawet adwokatów, w jaki sposób mógłby je zaarnąć... Przez wzgląd na twoje własne szczęście i przyszłość dzieci, powinnaś się z nim rozwieść!“

„Ha ha, szwagrze kochany, dobre rady dajesz mojej żonie!“ dał się w tejsze chwili słyszeć głos hrabiego.

Henryka podniosła głowę i uśmiechnęła się rozpromieniona na widok męża, który starannie ubrany, wyświeżony, stał na progu, piękny, jak marzenie.

„Wybacz, najdroższa“, rzekł, zbliżając się do żony i całując jej rękę, „że nie wróciłem wczoraj na obiad. Ale znajomi zatrzymali mnie przemocą, w nocy zaś nie chciałem wracać, aby cię nie budzić!“

Potem wręczył jej małe bukietki fiołków za dziesięć sous.

„Ach, jakie ładne“, uśmiechnęła się Henryka zachwycona, podnosząc je pieszczołtliwie do ust.

„Przyniosłem ci też jeszcze małą broszkę“, dodał, wyjmując z kieszeni pudełko. „Wiem, że lubisz granaty!“

„Za wiele dla mnie, za wiele“, szepotała wzruszona, a lzy stanęły jej w oczach.

Najlepsze gilzy do papierosów są: z fabryki mechanicznej gilz „Szeliga“ S. Żychlińskiego w Poznaniu, Wilhelmowski Plac Nr. 9.

miach polskich, a nadto w licznych miastach w głębokich Niemczech pozakładał filie lokalne, specjalnie organizujące hecy antypolską w ciśniejszych granicach, że utrzymuje cały szereg płatnych agitatorów, którzy, jak świeżo czytaliśmy, docierają nawet do drobnych południowo-niemieckich księstw, że w Berlinie utworzył osobny bank parcelacyjny dla poparcia akcji Komisji kolonizacyjnej, a w Poznaniu utrzymuje w własnym domu całe biuro, z którego codziennie na całe Niemcy rozchodzą się najniegodziwsze denuncjacje na cały ogół polski, w których szczególnie uwagą cieszy się prasa, duchowieństwo polskie, nasz Arcybiskup, nasze Spółki i Towarzystwa, a specjalnie nasze zasłużone i prawdziwie filantropijne Towarzystwo imienia Karola Marcinkowskiego!

Ta według pewnego dobrze obmyślanego planu — konsekwentnie przeprowadzona robota hakatyizmu nie może na długo pozostać bez fatalnych dla nas skutków i prędzej czy później da nam się dotkliwie we znaki.

W dziedzinie politycznej są już te skutki widoczne. Hakatyizm dopiawszy swego celu w tej dziedzinie — rząd bowiem system antypolski znacznie obostrzył, a jego organa zapowiadają nowe środki antypolskie, jako to powiększenie funduszu komisji kolonizacyjnej i zniesienie komisji jeneralnej — zwraca teraz uwagę na rzekomą ekonomiczną depresję — niemieckiego stanu średniego, zakłada spółki konsumcyjne i kasy pożyczkowe dla powiększenia liczby niemieckich rzemieślników i przemysłowców po naszych miastach i wsiach większych. Ze strony tedy hakatyizmu grozi nam niebezpieczeństwo nielada. Lekceważyć go nie wolno.

I cóż z naszej strony uczyniono przez 3 lata istnienia hakatyizmu dla sparalizowania uprawianego przezeń materialnego i moralnego bojkotu antypolskiego? Nic,

albo prawie tyle co nic. Boć przecież, jak to słusznie już powiedziano w „Pracy“, tyralierskiego ostrzeliwania się naszej prasy nie można uważać za skuteczną obronę. Trzeba tedy o takiej pomyśleć na seryo, póki czas.

Zwrócono już na innem miejscu w waszem piśmie uwagę na przykład, jaki nam w tym względzie dali żydzi. Gdy antisemityzm w Niemczech począł zagrażać ich interesom, a prasa tego kierunku w zarzutach przebierać miarę i stosować je do całego ogółu żydowskiego (do którego się zresztą wcale nie zapalamy), utworzyli tegoż przywódcy w Berlinie „Centralny Związek dla zwalczania wybrków antisemityzmu“, a przy nim specjalne biuro prasowe, które każdy niesprawiedliwiony wybrk w prasie rejestrowało i komunikowało zarządowi. Poczem kilka osób przyjmowało obrazę danego pisma antisemickiego na siebie i wytaczało mu proces. Zapadło w ten sposób kilka wyroków zasadzających redaktorów antisemickich za obrazę ogółu żydowskiego i odtąd ton w prasie antyżydowskiej jest daleko przyzwoitszy, a zarzuty przeciw żydom podnoszone nie bywają uogólniane. Po za biurem prasowem utrzymuje związek biuro obrony prawnej, w którym każdy żyd, prawdziwie czy rzekomo poszkodowany, znajduje poradę, a gdy jest niezamożny, także pomoc prawną.

Sądzę, że i nam trzeba podjąć jaką akcją obronną przeciw wybrkom hakatyizmu, inaczej sterowuje on nas do tego stopnia, że ruszyć się nie będziemy mogli ani śmielej podnieść głowę. Nie rozporządzamy wprawdzie takimi środkami, jakie on ma do dyspozycji, nie mamy legionu urzędników, którzyby naszą sprawę popierali we wszystkich instancjach, nie mamy środków, któreby nam umożliwiały wszędzie, gdzie istnieje filia haka-

tystyczna, założenie Towarzystwa, przeciwdziałającego jego robocie, że jednak coś uczynić nam należy, to czuje zapewne każdy. Ale co? Mem zdaniem potrzeba nam przedewszystkiem *biura obrony prawnej* i połączonego z nim *biura informacyjnego i prasowego*.

Biuro obrony prawnej istniało już u nas przed 10 laty, ponieważ jednak ogół na jego utrzymanie bardzo małołożył, a ono stało tylko ośmarnością jednego człowieka, przeto, gdy jemu pośliznęła się noga, musiało upaść, jako też upadło.

Takie biuro trzeba teraz koniecznie znowu powołać do życia i stworzyć dla niego tak silne podstawy, jakie posiada znany „Kennemannhaus“ tutejszy. Biuro to służyłoby poradą i pomocą prawną wszystkim przez hakatyizm i jego urzędowych popleczników poszkodowanym jednostkom narodowości polskiej. Pomoc ta w razie niezamożności interesenta winna być bezpłatną.

Dobry w tym względzie początek zrobił „Wielkopolanin“, który dla wygody i dla pożytku swoich czytelników zaprowadził osobny dział obrony prawnej, uprawiany przez rutynowanego znawcę prawa. Ta obrona prawna, aczkolwiek jest pochwałą i uznania godną, obraca się jednak w zbyt ciasnych granicach, aby cały ogół polski mógł mieć z niej większy pożytek. Proponowana przezemnie obrona prawna miałaby charakter więcej polityczny i narodowy i przedewszystkiem obronny, skierowany przeciw wybrkom hakatyizmu.

Przy rzezonem biurze należałoby po drugie utworzyć osobny *wydział prasowy*. Na czele jego winien stać rutynowany dziennikarz, któryby baczem okiem śledził całą prasę, zyskaną przez hakatyizm do uprawiania hecy antypolskiej i tę część prasy niemieckiej, która kłamstwami jego otumaniona, w dobrej może wierze przy-

„Dla ciebie nic nie jest za wiele“, odrzekł serdecznie. „Teraz zaś zostaw nas samych, muszę się rozprawić z tym okrutnym szwagrem. Każ ubrać dzieci — za godzinę wyjdziemy na przechadzkę!“

Henryka posłuszna, wyszła ze salonu.

„No, drogi panie Demoret“, zaczął Hélier wesoło, „czego chcesz odemnie?“

„Czego chcę? Chcę, abys raz już przestał odgrywać tę wstrętną komedię! Ja nie jestem tak zaślepionym, jak moja biedna siostra! Chcesz zabrać resztę jej majątku i zmarnować go do szczytu. Tak jak ty, nie postępuje żaden człowiek uczciwy!“

„Och!“ krzyknął hrabia, podnosząc groźnie rękę.

„Możesz mnie uderzyć“, rzekł bankier chłodno. „Ja w każdym razie będę bronił majątku Henryki i jej córek!“

„Nie powinienem się był unosić gniewem“, szepnął Saint-Ermond pogardliwie. „Zapominam zawsze, że honor znaczy u pana tyle, a nawet mniej niż pieniądze. Wracaj drogi bankierze do twego biura i nie wtrącaj się w nasze sprawy. Nie mam pretensji do tego, aby mnie uważano za wzorowego męża, ale i ja potrafię zapewnić szczęście mojej żonie.“

„Jesteś pan zręcznym aktorem“, odparł Demoret oburzony. „Powtórzę ci jednak, że straciłeś cały majątek i żyjesz tylko z pożyczek. Olsniewasz ludzi pięknymi słowami i milionami, które są u mnie, a których procent należy do twej żony i to tylko do czasu dojścia do pełnoletności waszych córek.“

„Nie jest ci to zapewne zbyt przyjemnem, że żądam czasem zdania rachunków z tych pieniędzy...“

„Panie!“

„Posłuchaj mnie, mój drogi. Czy sądzisz, że nie wiem, w jakich kłopotach pieniężnych znajdujesz się? Twoja wielka troskliwość o siostrę i jej dzieci wypływa tylko z tego, że lękasz się, aby sądy na moje żądanie, nie odebrały ci depozytu, który w twoich rękach niezupełnie jest bezpieczny!“

„Czyś pan stracił zmysły?“ szepnął bankier drżącym głosem. „Widzę, że lepiej skończyć naszą rozmowę. Odchodzę i przysięgam, że nigdy już nie przestąpię progu domu twego.“

Hrabia odprowadził go uprzejmie do drzwi.

„Ja nie straciłem zmysłów“, rzekł złośliwie, „jestem tylko bardzo domyslnym!“

Wiem też, że zawadzam ci i że pragnąłbyś pozbyć się mnie raz na zawsze!“

Służący i ogrodowy zajęci ustawianiem kwiatów w przedpokoju, usłyszeli te słowa.

„Nie uważam za potrzebne odpowiadania panu wobec służby“, odparł Demoret wzburzony. „Żegnam!“

I wybiegł prędko na ulicę.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

Czerwone Corso.

Henryka słyszała całą tę sprzeczkę i zmartwiła się niezmiernie. Nie myślała ani na chwilę o tem, aby zapytać męża, gdzie był wczoraj, nie miała odwagi być zazdrosną, a jednak serce jej okrutnym ścisnęło się bólem, gdy przypominała sobie słowa brata. Po chwili wszedł do jej pokoju Hélier wesoły i spokojny.

„I cóż, moja droga“, rzekł, całując jej czoło.

„Gniewasz się?“ szepnęła, zapominając znowu o wszelkich troskach, które je poprzednio męczyły.

„O co?“

„O tę śmieszna scenę... mój brat...“

Poznańska Introligatornia, Poznań, ul. Wodna nr. 2 I^{sze} piętro

poleca się do wszelkich prac introligatorskich przy punktualnem, spieszmem i tanim wykonaniu.

Specjalność: **książki handlowe, dostarcza podług każdego szematu.**

Własny zakład do liniowania.

klada rękę do przesławiania Polaków. Wybryki prasy hakatystycznej winien wydział prasowy przy pomocy obrony prawnej ścigać w drodze sądowej, na drugą część prasy winien oddziaływać informując, zbijać w niej fałszywe o nas rozszerzane i pouczając ją, jak stosunki w naszych stosunkach w rzeczywistości wyglądają. Gdyby fundusze pozwoliły, możnaby wydawać tygodniowe lub miesięczne pismo (na wzór hakatystycznej „Die Ostmark“) w języku niemieckim, dostarczane pismom niemieckim i osobom politycznym, kierującym się dobrą wolą względem nas.

Potrzebne wreszcie byłoby mem zdaniem utworzenie osobnego biura *informacyjnego*, któreby rodakom w kraju i na obczyźnie wskazywała pracę, informowała adwokatów, lekarzy, kupców, rzemieślników, przemysłowców i robotników, gdzie najlepiej osiedlać się, zakładać sklepy i warsztaty, majstrom wskazywałoby czeladników i uczeni, a uczniom i czeladnikom majstrów polskich.

Przy biurze hakatystów w Poznaniu istnieje taki wydział informacyjny, który w tym kierunku wiele już zdziałał, o czym nasi kupcy, przemysłowcy i rzemieślnicy po małych miastach niejedno mogliby powiedzieć, bo im ta akcja hakatystyczna dotkliwie dała się we znaki i szkodzić będzie jeszcze bardziej, jeżeli z naszej strony nie uczyni się nic dla przeciwdziałania temu.

Na powyższe propozycje moje powie może kto: Wszystko to bardzo piękne i pożyteczne może, a nawet konieczne w obecnym położeniu naszym rzeczy, ale skąd wziąć pieniądze na zrealizowanie tych pięknych projektów?

Prawda, to szkopuł największy, ale mem zdaniem znów nie tak wielki, żeby go nie można przezwyciężyć. Potrzeba sobie tylko jasno postawić kwestję, czy

„Ech, nie ma o czym mówić. Otóż i nasze pieścizki!”

Mana i Lilli, ubrane w białe sukienki, wbiegły z wesołym okrzykiem i rzuciły się w objęcia ojca.

Po upływie pół godziny wyszedł hrabia z żoną i dziećmi na przechadzkę. Powietrze było przepyszne, a fiołki i dzikie róże roztaczały w około woń słodką, upajającą.

Henryka uszczęśliwiona, patrzyła z miłością na ukochanego męża, który, jak zwyczajny mieszczanin, szedł z żoną i dziećmi na spacer i starał się zabawiać je opowiadaniem wesołych dowcipów. Raz po raz jednak marszczył gniewnie czoło, a oczy rzucały błyskawice gniewu i nienawiści. Henryka zauważyła to.

„O czym myślisz w tej chwili?” zapytała troskliwie. „Czy jeszcze o owej scenie z Wawrzyńcem?”

„Nie, nie, przysięgam ci!”

Helier mówił prawdę; o szwagrze zapomniał już zupełnie — myśli jego zajęte były Leonią!

Po obiedzie, poszedł dla zabicia czasu do Monte Carlo, gdzie spotkał Jamesa Barkay, a powitanie obydwóch było tak serdeczne, jak gdyby ich najszczersza łączyła przyjaźń. Hrabia odetchnął swo-

położenie nasze nie wymaga od nas wyłączenia wszelkich sił, aby choć w części uchylić niebezpieczeństwo, grożące nam ze strony niemieckiego hakatyzmu i szowinizmu. Jeżeli sobie na to pytanie odpowiemy potakująco, to uznamy przez to obowiązek podjęcia akcji ratunkowej w wskazanym kierunku, a uznawszy go musimy wynaleźć drogi i sposoby na jej zrealizowanie.

Gdy Czesi byli w tak twardym, jak my położeniu nie cofali się przed żadnymi ofiarami, aby z niego wybrnąć, cały naród dobrowolnie się opodatkował od wszelkich zabaw prywatnych i publicznych i oto jakie dziś tryumfy święci ta potężna akcja ratunkowa Czechów! I u nas to jest możliwym, potrzeba tylko dobrej woli, ofiarności i energii, a i my zdołamy stawić czoło czynionym na nas zamachom. Polska długa i szeroka. W obronie zagrożonych jej kresów zachodnich stanie ona cała, byleśmy się do tej pomocy odwołali i do akcji cospieszniej przystąpili.

Myśli powyższe rzucam za pośrednictwem „Pracy“ i podaję je pod światłą rozwagę moich rodaków!

Szkolne kasy oszczędności.

Wychowanie i wykształcenie publiczne tem jest lepsze, im więcej zbliża się do nauczania człowieka wszystkiego. — Szkoły niższe i zakłady średnie przygotowują ucznia w ogólności do życia jako przyszłego obywatela, a dając mu możliwie wielką ilość materiału naukowego, równocześnie dają mu wskazówki do samodzielnej, duchowej pracy, do rozwijania myśli i kształcenia charakteru. Wykształcenie to tem więcej odpowiada celowi, im więcej opiera się na praktyce życiowej.

Takim arcyważnym i niepospolicie

bardziej — James o nic go widocznie nie podejrzewał. Grali razem w ruletę, przegrali kilkaset franków i wrócili do Nicei w najlepszych humorach.

Przy rozstaniu się zapytał James!

„Gdzie będziesz pan wieczorem?”

„Na Corso! Myślałem, że się tam spotkamy. Siostra pana wspominała...”

„Tak jest! Przebierzemy się w kostiumy u księżnej Lamargo i pojedziemy jej karetą!”

„A więc zobaczymy się około ósmej!”

Gdy wrócił do domu, rzekła mu Henryka:

„Czuję się dziś tak zdrową i silną, jak dawno już nią nie byłam. Proszę cię, zabierz mnie ze sobą na Corso!”

Ta prośba żony wielką mu sprawiła przykrość. Dowodził jej, że powinna ochraniać swe siły, nie narażać się na zaziębienie, a przede wszystkim unikać tłumu, w którym niejedno by jej groziło niebezpieczeństwo. Zresztą nie można dzieci zostawiać samych.

Henryka posłuszna jak zwykle, dała się łatwo przekonać, pomimo, że potajemnie miała już przygotowane czerwone domino.

„Przepędzimy więc razem w domu dzisiejszy wieczór?” szepnęła błagalnie.

żywotnym kierunkiem, w którym, zwłaszcza młodzież polską kształcić i zaprawiać należy: to oszczędność, która biorąc początek w sposobie gromadzenia materiału pieniężnego, uczy następnie, jak z materiałem tym odpowiednio postępować i nim korzystać, ale i w sposób godziwy zarządzać.

Myśl ta, dotąd u nas obca, dawno już znalazła w innych krajach i państwach prawo bytu i zastosowanie i wydaje już od lat wielu we Francji, Anglii, Niemczech, Włoszech i w Stanach Zjednoczonych bardzo cenne i nader obfite owoce. To też mówiąc o tak zw. nauce oszczędności, nie wnosimy urojonych projektów, ale pragniemy, aby u nas w narodzie, szczególnie nauki tej potrzebującym, zastosowano do młodzieży szkolnej to, co gdzieś indziej dawno już na podstawie doświadczenia za korzystne i w skutki obfite uznane zostało.

Praktyczną naukę oszczędności zaprowadzono gdzieś indziej, zwłaszcza zaś w sposób najwytrawniejszy we Francji, a równocześnie, dla nadania praktycznego tej nauce kierunku, wprowadzono w życie nieznaną u nas nową instytucję: „Szkolnych kas oszczędności”. Profesorowie, nauczyciele i nauczycielki wpajają w sposób przystępny w uczniów i uczennice zasady oszczędności, zachęcają ich do odkładania grosza w ogóle, zwracają uwagę na dobre skutki lokowania pieniędzy zaoszczędzonych na procent, objaśniają równocześnie o znaczeniu szkolnych kas oszczędności, jako czynnika, mającego ułatwić zbieranie i lokowanie pieniędzy przez uczniów zaoszczędzonych.

Tak przedstawia się kwestya udzielania tak zw. nauki praktycznej oszczędności we Francji. A teraz porównajmy społeczeństwo francuskie z naszym, zasoby materialne i umiejętność urzędowania

„Zostałbym chętnie”, odrzekł z westchnieniem, „ale dałem słowo znajomym, że się z nimi spotkam. Zresztą wróć bardzo wcześniej...”

„Dotrzymaj przyrzeczenia! Wróć na kolację!”

Hrabia uściskał żonę i wybiegł, uradowany swoją wolnością. Henryka zaś, smutna, przygnębiona, poszła do pokoju dzieci, pragnąc się nieco rozweselić w ich towarzystwie.

Helier tymczasem wskoczył do pierwszego powozu spotkanego na ulicy i kazał się zawieźć do magazynu kostiumów i kilka minut później był już ubrany w czerwonym atłasowym domino i wysokiej czapce Pierrota. Potem pojechał do księżnej Lamargo, ponieważ jednak nie zastał tu już nikogo w domu, przeto udał się natychmiast na plac Corsa.

„Nareszcie ujrzę Leonią”, szepnęła rozmarzony.

* * *

W tym samym czasie przyszedł jakiś służący do willi hrabiny Saint-Ermond i przyniósł list do niej.

„Od kogo?” zapytała zdumiona.

„Nie wiem!” brzmiała krótka odpowiedź nieznanego, który zaraz potem

Karmelki napelnięne. — Cukry na sposób warszawski. — Czekolady i czekoladki szwajcarskie i paryżkie Bombonierki paryżkie. — Torty najrozmaitsze.

Przesyłki skutecznie odwrotnie franko do każdej stacji pocztowej.

A. W. ŻUROMSKI, Cukiernia, fabryka cukrów i czekolady.

Poznań (tylko ulica Berlińska Nr. 3.)

życia jego z wrodzoną nam lekkomyślnością na punkcie wydawania pieniędzy, względnie z brakiem umiejętności i zamiłowania do wskazanego dla jednostek i całego narodu gospodarstwa pieniężnego. Porównawszy zaś, zapytajmy siebie samych, gdzie raczej, gdzie prędzej potrzebaby radzić i szukać leku w kierunku zapobiegania złemu w zarodku: czy we Francyi lub Niemczech, czyli też u nas? Chwalebna i mądra jest rzeczą dbać o zdrowie i siłę fizyczną młodych pokoleń, ale równorzędnie z tą dbałością o ciało, pamiętajmyz również o wpojeniu w młodzież naszą ziarna siły materialnej.

Prasa niemiecka wobec wyroku trybunału berlińskiego.

Wobec wyroku berlińskiego trybunału administracyjnego w sprawie używania języka polskiego na zebraniach publicznych, prasa niemiecka rozszczepiła się na trzy odłamy. Pierwszy bezwzględnie potępia wyrok trybunału, drugi wyraża się o nim z bezwzględnym uznaniem, trzeciemu podobna się zasada szanowania wolności, zagwarantowanej ustawami, ale mu przykro, że wyjść ona może na pożytek Polakom.

Do pierwszego obozu należy cała szfara gadzin hakatystycznych. Pisma te — wszystkie kwestye zasad, słuszności, moralności państwowej redukują do zagadnienia, czy coś jest dręceniem żywiołu polskiego, czy nie. Taka „Deutsche Ztg.“ i „Geselliger“ zbić się nie dają z tropu artykułami ustaw, ani konstytucyi państwowej. „Konstytucya nie jest świętością — zmienić ją!“ — wołają po wyroku, jak przed nim radziły: „zgwalczyć ją“, a towarzyszyła im w tem półurzędowa „Nordd. Allg. Ztg.“ „Post“ zmierza do tego samego, radzi tylko półurzędowo postępować ostrożnie, nie narażać się na parlamentarną porażkę i wnieść

ustawę o języku urzędowym, skoro z ustawą o stowarzyszeniach tak się nieszczęściło.

Katolicka „Germania“ chwali wyrok, wyraża jednak obawę, czy będzie szanowanym w praktyce. Najsilniej trybunałowi przyklaskuje „Pos. Ztg.“ w artykule zatytułowanym „Klęska p. v. d. Recke“. Pismo to przedstawia, że wyrokiem trybunału potępiona została, jako bezprawna, doktryna, którą zalecał i przed sejmem bronił ten minister. Zdaniem „Pos. Ztg.“ minister stoi obecnie wobec dylematu: albo cofnąć swe rozporządzenia, albo uzyskać nową ustawę; stwierdza wreszcie, że cała polityka polska tego ministra zrobiła fiasko.

Pisma liberalne, mimo, że zastrzegają się, że nie sympatyzują z dążnościami polskimi, cieszą się z tej porażki systemu, który — zdaniem „Berl. Tagebl.“ — „gruntownie zasłużył na tę sromotną klęskę“. Jeszcze wyraźniej występuje ta nuta w „National Ztg.“ która nie bez melancholii wypowiada zasadę, że „wogóle nie można odmówić Polakom prawa korzystania z konstytucyjnych praw“, bojąc się, w razie nieuszanowania ogólnej tej zasady, „bardzo niebezpiecznych następstw“.

Ta obawa „bardzo niebezpiecznych następstw“ wpłynęła prawdopodobnie wogóle na pisma liberalne, że przyjęły z zadowoleniem wyrok wobec Polaków sprawiedliwy. Obawiają się one coraz więcej wyłomów, robionych rozmyślnie w prawach publicznych, przysługujących obywatelom państwa. Próżno hakatystowskie organa wołają: „wszak to idzie tylko o Polaków!“

Ale zdaniem pism niemieckich liberalnych, nie teraz czas cieszyć się ograniczeniem wolności obywatelskich, choćby chodziło „tylko o Polaków.“

Czyżby dla powetowania swej klęski i pozyskania zarazem oklasków i prasy liberalnej, minister v. d. Recke, zanim ukuje broń nową, sięgnął po starą receptę

z po-bismarkowskiej rupieciarni? Minister ten świeżo zarządził, aby robotnicy z Królestwa Polskiego i z Galicyi mogli być tylko czasowo zatrudnieni w rolnictwie, w przemyśle zaś wcale nie. Wpuszczanie do Prus osób pojedynczych jest dozwolonym, rodzin zaś z dziećmi tylko wyjątkowo. Z dniem 15 listopada r. b. muszą robotnicy zagraniczni opuścić Prusy; w razie dłuższego zatrzymywania się, mają być niezwłocznie wydalenii.

Fundusz na cele wynarodowienia.

Gazety niemieckie zaznaczają charakterystyczną i ważną wiadomość, że stworzony przez Bismarka 100 milionowy fundusz na wynarodowienie prowincyi polskich w Poznańskim i Prusiech Zachodnich ma zostać zamieniony na „trwałe państwowe urządzenie“. Taki charakter otrzymać ma ten fundusz za pomocą następującego pomysłu, z którym rząd obecnie występuje: Ponieważ komisya kolonizacyjna w ciągu swej 11-letniej działalności prawie już wyczerpała owe 100 milionów, przeto postanowiono na nowo 100 milionów zgromadzić i gromadzić je w dalszym ciągu w miarę wyczerpywania się pierwotnego kapitału. Słowem, chodzi tu o to, aby nigdy nie wyczerpały się środki na wykup ziemi polskiej, mającej się tą drogą zgermanizować.

Obmyślono też już warunki finansowe tego projektu. Ma być zaciągnięty na cel ten kredyt tylko o 6/10% niżej oprocentowany od pożyczek państwowych. Obligacye zaś takie, jak dowodzą organy półurzędowe, powinny znaleźć powodzenie u publiczności z powodu swego patryotycznego charakteru. Korzyści patryotyczne wyrównają tu ową 6/10% różnicę rentowości pożyczek! Wielkie poświęcenie patryotyczne będzie więc bardzo tanio opłacane

zniknął, jakgdyby go ziemia była pochłonięła. Henryka, przeczuwając nowe nieszczęście, otworzyła list drżącemi rękami i przeczytała następujące słowa:

„Mąż twój znajduje się w tej chwili na Corsie w towarzystwie tej, którą uwielbia“.

„Jedna z nieszczęśliwych ofiar, która mu niedługo wierzyła!“

„Boże!“ jęła biedna kobieta, zalamując ręce, „Wawrzyniec miał słuszność. On mnie zdradza!“

Teraz nie wątpiła już o tem. Helier dla tego nie chciał jej zabrać ze sobą, ponieważ miał się spotkać z inną... Szybko zerwała się z krzesła i pobiegła do dzwonka. Służąca weszła natychmiast.

„Justyno!“ Podaj mi czapkę i domino, prędko!“

„Coż to, pani hrabina wyjeżdża?“

„Tak! Pan pisał — muszę jechać!“

Ubierała się z gorączkowym pośpiechem, myśląc jedynie o tem, w jaki sposób zbliżyć się niespostrzeżenie do niewiernego męża i przekonać się naocznie o jego zdradzie.

Pół godziny później znajdowała się już na miejscu zabawy, na wpół przytomna, ogłuszona krzykiem i wrzawą, po-

pychana tu i tam przez tłum hałaśliwy i przerażona czerwonym blaskiem licznych latarni, zawieszonych nad oknami domów. Teraz właśnie nadjechały wozy, pełne zamaskowanych osób — tysiące ludzi otaczało je, wywijając zapalonemi świecami i krzyżąc przeraźliwie. Henryka upadała z zmęczenia — bezsilna, nie mogła już iść dalej i szukać męża, a tem mniej mogła myśleć w tej chwili o jakiegokolwiek bądź zemście. Gwałtowny kaszel wstrząsał jej ciałem, oczy napełniły się łzami i już chciała uciekać ztąd, gdy nagle usłyszała tuż obok siebie okropny krzyk. Zadrżała, poznała bowiem głos męża. Równocześnie upadł jakiś mężczyzna, ubrany w czerwonym domino, a tłum przerażony cofnął się, tworząc ogromne koło... Na ziemi popłynęła struga krwi...

Jeden z agentów policyjnych zbliżył się i po chwili wahania schylił się i zdjął czapkę oszytą złotemi dzwonekami, która okrywała głowę rannego. Wtedy ukazała się twarz jego blada, martwa, z szeroko otwartemi przerażonemi oczami...

(Ciąg dalszy nastąpi).

WIARY, NADZIEI, MIŁOŚCI

O! daj nam, Boże! światło Twojej wiary.
Byśmy wierzyli, żeś Ty dobrym Panem,
Ze błogosławisz wiernym Twym poddanym,
I że ojczyznę wkrótce miną kary
Za te wiekowe i srogie pokuty,
Za nędzę, Sybir, kajdany i knuty.
O! daj nam Boże! światło Twojej wiary!

* * *

O! daj nam, Boże! choć iskry nadziei,
Ze Ty jak ojciec wciąż czuwasz nad nami,
I że nie zgaso słońce za chmurami.
Bo my w ojczyźnie wszech nieszczęść zawiei
Tracimy ducha, i rozpacz nas toczy;
Więc miłosierdzia zwróć Ty ku nam oczy!
O! daj nam, Boże! choć iskry nadziei!

* * *

O! daj nam, Boże! płomień Twej miłości!
Niejednoś bowiem Ojczyznę zniszczyła,
Miłość natomiast to naradu siła!
Niechaj więc giną wybuchy zazdrości!
I razem zgodnie wspólnej Matki syny
Zmażmy praojców targowickie winy!
O! daj nam, Boże! płomień Twej miłości!

Poznań, 19. 10. 97. *Irydion.*

Cygara, papierosy i tytoń poleca w wielkim wyborze Skład cygar itd. W. Mroczkiewicz, ul. Rycerska nr. 40. Towar rzetelny. Ceny umiarkowane.

Sam pomysł jest nową, jaskrawą ilustracją usposobień rządu niemieckiego względem swych polskich poddanych. Ale pomysł to tak marny z moralnego a nawet z praktycznego stanowiska, że nie zyskał sobie uznania dzienników, nawet nie zbyt życzliwie dla Polaków usposobionych.

„Voss. Ztg.“ dowodzi, że cała działalność komisji kolonizacyjnej zawiodła i nowe nakłady nie obiecują lepszych skutków. Komisja wykupiła nieco majątków z rąk polskich, ale żywioł niemiecki nie zyskał, a polski nie utracił. Wynarodowienie jest mrzonką i prowadzi tylko do utraty lojalnych i życzliwych dla państwa obywateli.

„Berl. Tageblatt“ przypomina, że funduszem tym wspomaganą zbankrutowanych niemieckich właścicieli ziemskich. Wywołano tylko podrożenie renty gruntowej, ale swych celów politycznych nie osiągnięto.

Gazety wyrażają wątpliwość, czy sejm przyjąłby ten projekt. My co do tego niestety nie mamy złudzeń, bo sejm składa się ze znacznej większości polakożerców. Sądziemy, że raczej sam rząd w porę się jeszcze zreflektuje i zrozumie, iż projekt ten jest nadto nikczemny, aby warto było plamić się dla tak wątpliwych germanizacyjnych korzyści.

Heca niemiecka w parlamencie austriackim.

Znikła już wielka tragedia powagi
I ciszy greckiej!...

Nieraz widziano w parlamentach sceny gwałtowne, nie licujące z powagą ciała prawodawczego, nieraz słyszano tam wyrażenia bynajmniej nie parlamentarne, ale to, co się obecnie dzieje w wiedeńskiej radzie państwa, przechodzi już wszelkie granice zwyczajnej przyzwoitości, obowiązującej ludzi dobrze wychowanych. Po skandalicznych awanturach, wywoływa-

nych przez posłów stronnictwa liberalno-narodowego, Wolfa i jego towarzyszków, zabłysnął nowy „bohater“, deputowany Lecher, należący do tej samej „paczki“.

Na porządek dzienny weszła sprawa ugody z Węgrami. Posłowie niemieccy, którzy nie mogą przebaczyć hr. Badenemu jego „sympatyj czeskich“, widniejących jakoby z wydanych przez ten rząd rozporządzeń językowych, zapewniających mowie czeskiej te same prawa, jakimi w kraju św. Wacława cieszyła się przez wieki cała mowa niemiecka — postanowili nie dopuścić do rozpraw. Jeżeli ugoda nie zostanie załatwiona, to rząd obecny upadnie, a u steru staną Niemcy. Oto rozumowanie niemieckiej mniejszości.

Większość złożona głównie z Czechów, Polaków i innych Słowian, sprzyjająca rządowi, postanowiła również wytrwać. W czwartek ubiegłego tygodnia wieczorem zaczęła się walka, w której zwyciężyć miała nie siła argumentów dowodzeń, ale wytrwałość fizyczna. Po uspokojeniu pierwszych wybuchów wrzawy zabiera głos wspomniany poseł Lecher, piastujący mandat z Berna Morawskiego. Zaczął mówić spokojnie o godzinie 8^{1/2} wieczorem, i mówił prawie bez przerwy do godziny 8^{1/2} zrana. O czym mówił?... Nie wielu mogłoby pochwalić się znajomością treści tego przemówienia. Nawet przyjaciele polityczni mówcy nie mogli dotrzymać mu placu.

Około północy sala obrad zaczęła się przerzedzać. Lecher wciąż mówił. Posłowie szukali po korytarzach i bocznych pokojach jakiej takiej kanapki, bodajby zresztą fotelu, gdzieby choć na chwilę można się było zdrzemnąć. Luni odpędzali sen ze znużonych powiek grą w winta lub w taroka. Lecher wciąż mówił. Około 3-ciej w nocy w wielkiej sali parlamentarnej pozostał już tylko wiceprezes Izby Abrahamowicz, oraz mówca, otoczony garstką przyjaciół, ale i ci tylko ostatnim wysiłkiem trzymali się na miejscach. Tego dnia wszyscy sumiennie zapracowali na

10-guldenową dyteę, pobieraną przez członków Rady państwa.

A Lecher wciąż mówił. Ten człowiek ma chyba płuća stalowe!...

W bufetach parlamentu, zazwyczaj obficie zaprowiantowanych, tej nocy straszny panował zamęt. Panowie deputowani gasili pragnienie piwem. A potężne musiało być to pragnienie, skoro owej nocy wypito 1400 litrów napoju gambrynusewego. Wina wydano z bufetu 200 butelek półkwartowych.

Godzina 5-ta nad ranem! Noc. Cały Wiedeń śpi. Tylko gmach parlamentu oświetlony *à giorno*, bo poseł Lecher wciąż mówi. A w swadzie oratorskiej nie popełnia nic takiego, co by mogło spowodować odebranie mu głosu. Przed parlamentem tłum nieliczny przygląda się niezwyklemu widowisku. A wewnątrz gmachu?... Stenografowie i dziennikarze formalnie upadają ze znużenia. Gdy kto znużony zdrzemnie się na swem miejscu, wnet poseł Wolff, głośny z pojedynku z hr. Badenem, budzi go, stukając hałaśliwie o pulpit kałamarzem, linią, lub czemkolwiek, co ma pod ręką. Ale zmęczenie jest większe, niż hałas deputowanego Wolffa. Trzy osoby wyniesiono z sali obrad w stanie bezprzytomnym. „Czy ta noc długo trwać będzie?“ — pytano z Schillerem.

Nareszcie dzień zaczyna. Lecher wciąż mówi! W korytarzach gmachu parlamentarnego matki, żony, siostry u zedników i służby miejscowej przybiegają zaniepokojone. Tyle ludzi spędziło noc po za domem. W systematycznym życiu Niemca jest to rzeczą niezwykłą. Niezwykłym też jest wygląd wszystkich tych, co w tej pamiętnej nocy brali udział. Twarze blade z silnymi wypiekami po nieprzespanej nocy, oczy podsińcane. Wyglądają, jak gdyby wracali z nocnej hulanki. Tylko Wolff wciąż tłucze hałaśliwie kałamarzem o pulpit; tylko Lecher wciąż mówi i mówi!...

W piątek zrana, około godz. 8-mej przybył na posiedzenie prezes ministrów hr. Badeni, a za nim ministrowie: oświaty

Przedruk wzbroniony.

Za pomocą telegrafu!

NOVELKA.

Napisał dla „Pracy“ W. M.

Kasia Donovan sprawowała urząd telegrafistki na małej stacyi Medicine Bow, na linii kolei Pacific, w Stanie Wyoming. Mając lat 18, opuściła dom rodzicielski, aby ciężką pracą zarabiać na utrzymanie siebie i matki.

Stacya ta leżała w pustyni i składała się z jednego domku, zawierającego aparat telegraficzny i pokój urzędnika. Nieco dalej stały rezerwoary z wodą, szopa do węgla i mała chata, w której czasem mieszkali chińscy robotnicy. Kasia miała służbę nocną, dzienną zaś inny urzędnik, młody chłopiec, którego domek znajdował się w znacznej odległości.

Pociąg pospieszny, jadący do San Francisco, zatrzymywał się tutaj wtenczas tylko, jeżeli dawano znak, że podróżny jaki chce się zabrać. Zdarzało się to jednak bardzo rzadko.

Dyrektor kolei, młody, przystojny mężczyzna, przejeżdżał tędy często i dodawał odwagi bojaźliwej Kasi, przyrze-

kając wystarczyć dla niej o inne, lepsze miejsce. Nieraz widział ją płaczącą i wtedy pocieszał biedną jak umiał. Kasia chciała już kilka razy wypowiedzieć służbę i wrócić do domu, ale na prośbę dyrektora zostawała dalej.

Pewnej nocy, około dwunastej, siedzi Kasia w swem biurze i czyta. Nagle daje się słyszeć lekkie pukanie do drzwi.

„Kto tam?“ pyta drżącym głosem.

„Pasażer, który chce jechać na Zachód pospieszonym pociągiem“, odpowiada ktoś ochryplym głosem.

Co robić! Jest sama, bez opieki! Ale zna swój obowiązek. Jeżeli nie chce stracić miejsca, musi otworzyć drzwi.

Zaledwie jednak odsunęła rygiel, wpada do pokoju sześciu zamaskowanych i uzbrojonych mężczyzn.

Kasia cofa się przerażona, a z ust jej dobywa się głośny okrzyk trwogi.

Jeden z napastników podchodzi ku niej i wyciągając rewolwer, mówi groźnie:

„Słuchaj! Nie wyrządzimy ci żadnej krzywdy, ale skoro raz jeszcze krzykniesz i będziesz się starała zbudzić robotników — wtedy biada ci!“

Biedna wie już, o co chodzi. Lotryte chcą zatrzymać pociąg, przechodzący tędy o trzeciej i zrabować podróżnych.

Czy może zapobiedz temu? Ma wprawdzie całe trzy godziny czasu, ale w jaki sposób obudzić robotników? Chciałaby krzyczeć, nikt jej nie usłyszy! A chociażby poświęciła życie, to złoczyńcy wykonaliby jednak niegodziwy plan, i ofiara jej byłaby daremną!

„Gdzie czerwona latarnia?“ woła dowódzca bandy.

„Za drzwiami! Ale na Boga, co zamierzacie uczynić?“

„Milez!“

Poszukali latarnię sygnałową, usiedli na ławie i czekali.

Kilku z nich zapaliło fajki. Dowódzca zwrócił się znowu do Kasi.

„Gdy usłyszysz świst lokomotywy“, rzekł szorstko, „wyjdiesz przed dom i dasz sygnał lampką, aby pociąg stanął. Gdybyś nas chciała zdradzić, zastrzelę cię bez litości. Rozumiesz?!“

Kasia zaczyna głośno płakać i rzuca się na krzesło, na którym zwykle siedzi. Nagle przychodzi jej zbawienna myśl do głowy. Zwolna, ostrożnie, kładzie lewą rękę na armaturę elektromagnesu, aby przytłumić loskot, prawą zaś chwytając guzik aparatu. Płacze umyślnie, jęczy bardzo głośno i telegrafuje szybko następujące słowa:

SPORNY & RADZIMSKI, Poznań Wrocławska ulica, narożnik Starego Rynku 60.
Materje na suknie, wełniane i do prania, płótna, stolowizna, kobierce, firanki.

i sprawiedliwości. Hr. Badeni wyraża swój podziw dla wytrwałości wiceprezydentów Izby, którzy przez całą noc nie opuścili stanowisk. Nareszcie Lecher kończy swą mowę. Przyjaciele polityczni podają mu wieniec laurowy wśród hałaśliwych oklasków. „Czy chcecie abym zaczął na nowo? — zapytuje. — Gotów jestem mówić jeszcze dwanaście godzin!..” Ublagano go, aby tego nie czynił. Pomiedzy blagającymi byli podobno najgorętsi jego wielbiciele.

O czem mówił? O niczem — bo nie chodziło mu wcale o dowiedzenie jakiegoś twierdzenia. Szło tylko o to, aby nie dopuścić do wykonania jednego z paragrafów regulaminu parlamentarnego, który orzeka, że w sprawach ważnych, gdy Izba nie może dojść do porozumienia, należy rzecz sporną odesłać do umyślnie wybranej komisji. W tym wypadku „rzeczą sporną“ był projekt umowy Austrii z Węgrami. Opozycja parlamentarna postanowiła niedopuścić do złożenia projektu w ręce komisji. I dokazała swego!..

Po skończeniu mowy Lechera zażądano, aby posiedzenie odbywało się dalej przy drzwiach zamkniętych, a to dlatego, że deputowani znajdują się w stanie niewłaściwym do występowania przed publicznością. I znów przez cały dzień do godziny 6-tej wieczorem targowano się o to, czy posiedzenie tajne ma się odbyć, oraz stawiano pytania natury czysto formalnej, aby tylko zyskać na czasie. „Nie dopuścimy do rozpraw nad projektem ugody. Zobaczmy, kto kogo przetrzyma!“

I przetrzymali. W piątek wieczorem pierwszy wiceprezydent Izby, Abrahamowicz, osłabiony do najwyższego stopnia, zamknął posiedzenie, które trwało 33 godziny. Rekord i pod tym względem wygrany. Nietylko bowiem w życiu parlamentarnem Europy nie widziano dotychczas takich scen na arenie prawodawczej, ale też nigdy jeszcze posiedzenie prawodawcze tak długo się nie ciągnęło.

Czy uradzono co na niem?... Bynajmniej. A jednak widok to zaciekawiający.

Każdemu bowiem wiadomo, że jest to pierwsze poważniejsze starcie dwóch światów: słowiańskiego z germańskim. Pierwszy to grzmot, pochodzący z chmur, które zbliżają się powoli a bezustannie. Starcie może być bardzo burzliwem. A dotychczas nie widać piorunochronów, któreby zmniejszyły siłę burzy lub jej fatalne następstwa.

Konfekcyja krawiecka w Wiedniu.

(Dokończenie.)

Z końcem szóstego a początkiem siódmego dziesięciolecia bieżącego wieku poczęła wiedeńska konfekcyja zdobywać także targi rosyjskie. Pomimo znacznego, 40 procent wartości wynoszącego cła wywozowego, widzieli konfekcyjniści wiedeńscy jeszcze w tem swoją korzyść, aby odzież wywozić do Rosyi i zakładać tam filie swych magazynów. Tak powstały składy wiedeńskich sukien w Moskwie, Warszawie, Kijowie, Niżnym Nowogrodzie i Odesie.

Od r. 1870 rozpoczął się także znaczniejszy wywóz do Grecyi i Hiszpanii i nawiązano stosunki poza oceanem.

W latach 1880 i 1881 nastąpił zwrot, wielce szkodliwy dla wywozu odzieży wiedeńskiej. Przedewszystkiem Rosya poczęła mu stawiać trudności. Cło przywozowe podniosła do 50 proc. wartości, a gdy to jeszcze nie pomogło, kazała jej uiszczać w złocie, co się równało dalszemu podniesieniu cła o 17—18 proc. Nareszcie zaprowadzono cło od wagi i tem udaremnilo wszelki wywóz do Rosyi. Od tego czasu jest Rosya dla przywozu odzieży austriackiej zamkniętą, a to tembardziej, że tkactwo wełniane rosyjskie, popierane przez cła, rozwinęło się tymczasem, a nawet, postarawszy się o robotników z Prońc i Wiednia, własną konfekcyę krawiecką powołało do życia. To też ze składów austriackich w Rosyi pozostała tylko jedna wielka firma w Moskwie i urządziła się

samodzielnie na całkiem innych podstawach.

Toż samo i w Rumunii poczęto przed piętnastu laty dążyć do wyzwolenia się z importu odzieży austriackiej, lecz zapobiegliwości eksporterów wiedeńskich udawało się jeszcze do r. 1884 przewagę na targach rumuńskich utrzymać, aż zaprowadzone cła położyły wreszcie kres poważniejszemu wywozowi do Rumunii.

To samo stało się i w Grecyi wskutek zaprowadzenia cła od wagi. Tylko wywóz lekkiej odzieży letniej opłacał się jeszcze, lecz i ten jest wątpliwy wskutek złych stosunków pieniężnych na targu greckim.

Wystawa wiedeńska r. 1873 otworzyła nowe miejsca zbytu dla konfekcyjnego przemysłu wiedeńskiego. Pozyskano Szwajcaryę, Niemcy, Holandję i Szwecję. Później przez wystawy w Sidney i Melbourne znaleziono miejsca zbytu i w Australii. Ale wszystkie te nowe stosunki nie zdołały wynagrodzić ubytku targów rosyjskich i rumuńskich.

Interes za oceanami nie zdobędzie sobie nigdy większego zbytu, a to przede-wszystkiem wskutek zbyt długiego czasu, jakiego dostawa ta wymaga. Zanim wozry sezonowe dojdą do grosistów zaoceanowych i zamówienia ich wrócą do producentów w Wiedniu, upływa 4—5 miesięcy czasu. W czasie tym zaprzestała już ta i owa fabryka wyrabiać wzór, którego sobie za oceanem życzą i konfekcyonerzy nie są w stanie zamówień wykonać, narażają się na tysiące przykrości, reklamacyje, a nawet i zwrot wysłanego towaru. Mimo to utrzymuje się wywóz, szczególnie do południowej Ameryki, Australii i przylądka Dobrej Nadziei, lecz głównie artykułów odzieży z bawełny lub półwełnianych, bo wywóz droższych gatunków odzieży nie opłaca się wcale. Wywozem ubrań do Brazylii i Stanów południowych zajmują się przeważnie paryżskie firmy konfekcyjne. Pozwalają one sobie jednak i wiedeński wyrób jako paryską konfekcyę tam posyłać. Wogóle nie można w wy-

„Ratunku! Kto—to—usłyszy—niech da znać — urzędnikowi — w Laramie — na Boga — prędko — że na — stacyi w — Medicine — znajduje — się — sześciu — rozbójników — którzy — czekają — na pociąg — ratujcie — mnie — Kasia — Donovan.“

Potem staje się spokojniejszą i wycęża słuch.

Ach! Aparat zaczyna pracować.

„Odwagi — droga — Kitty — zrozumiałem — wszystko“.

Jest to odpowiedź urzędnika z Laramie.

Gdy złoczyńcy usłyszeli uderzenie aparatu, zerwali się z ławki.

„Co to znaczy?“ krzyknął jeden z nich. „Co tam telegrafują? Powiedz!“

„O, to nic! Ktoś pyta o wagony towarowe!“

„Kłamiesz! Zdradzasz nas!“

„Nie“, odpowiada dziewczyna śmiało. „W takim razie musiałabym przecież dotykać aparatu!“

„To prawda! Ale usiądź tam — dalej od stołu!“ woła przywódzca.

Kasia siada posłuszna i milczy.

Po chwili aparat odzywa się znowu. Posyłają depesze do Green River.

„Zebrać ludzi, — posłać — na — stacyą — Medicine — schwytać — rozbójników — wzięść — pociąg — umyślny“.

Potem cisza. Kasia nie śmie od-dychać.

Jeszcze jedna depesza. Z Green River do Laramie.

„Wszystko — gotowe — do — odjazdu“.

Serce dziewczyny przestaje niemal uderzać.

Z Laramie do Green River.

„Pędzić — całą — siłą — pary — pół — mi-li — przed — stacyą — zatrzymać — oprys-ków — napaść — zniemacka — dalej“.

Zimny pot oblewa czoło Kasi.

Odpowiedź następuje natychmiast:

„Pociąg — odjechał — o pierwszej — mi-nut — piętnaście!“

Dzięki Bogu! Pomoc zbliża się! Teraz jest 1, minut 20. A więc pięć minut pędzi maszyna. Jedna mila na minutę, a więc ujechali już pięć mil!

„Ty, Bill“, mówi tymczasem herszt bandy, „wskoczysz zaraz na maszynę i za-łatwisz się z palaczem i konduktorem. Ty, Jack, wejdiesz do wagonu pocztowego i każesz sobie dać listy i pieniądze. My zabierzemy się do pasażerów. Tylko śmiało, chłopcy! Kto stawi opór, tego zastrzelić!“

Kasia liczy sekundy. Już druga! Kwadrans na trzecią! O Boże! Jeszcze trzy kwadransy, a straszna zbrodnia zo-

stanie spełnioną. Znowu mija pięć minut! Boże Wielki! Zmiluj się!“

Nareszcie!

Okropny krzyk i szereg broni za oknem.

„Ratunku!“ woła biedna i pada zem-dlona.

Dwadzieścia luf strzelb błyszczy w strzaskanem oknie.

„Halo! ręce w górę“, woła ktoś głośno. „W imię prawa! Jestem szery-fem! Kto się ruszy, padnie trupem!“

„Przekłeta dziewczyna“, szepece herszt, „ona nas zdradziła!“

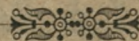
Ale posłuszny wezwaniu, podnosi obie ręce.

Po chwili leżą rozbójnicy rozbrojeni i związani.

„Gdzie Kasia?“ daje się słyszeć za drzwiami głos dyrektora. „Moja ukochana, odważna Kasia!“

Młoda dziewczyna zachorowała ciężko i przez cały tydzień blizką była śmierci. Ale młodość zwyciężyła, a mieszkańcy Green River obysypywali ją dowodami uwielbienia i podziwu.

Pół roku później została panią dy-rektorową.



wozie zaoceanowym liczyć na większe korzyści, a i tych pozbawia czasem zmiana na inne nieprzyjazne konjunktury handlowe. W Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki staje się sprzedaż odzieży europejskiej już prawie niepodobną wskutek ponownego podniesienia cen importowych. Dla wiedeńskiej konfekcji pozostaje tedy przeważnie Turcja i Egipt, jako najważniejsze miejsca zagranicznego zbytu.

Wedle sfery towarzyskiej, z jaką krawiec ma do czynienia, rozróżniają pracownie, a raczej firmy, na: pierwszorządne (*Kavalieregeschäfte*), drugorzędne tańsze i trzeciorzędne dla stron mniej zamożnych.

Pierwszorządnych firm niema dziś w Wiedniu więcej niż 7 do 8. Oddają one robotę wedle taryfy stałej, która w ostatnich czasach została nieco podwyższoną.

Firmy drugorzędne nie robią nic na zapas, lecz tylko na zamówienie. Jest ich dużo w śródmieściu Wiednia, a nieco także po przedmieściach. Mają składy własnych materyałów, a konkurują między sobą o odbiorców rozmaitemi sposobami kredytowania, tj. dawania sukien na spłaty.

Trzeciorzędne zakłady krawieckie, w których robią odzież na zamówienie i na miarę, wchodzą już w zakres drobnego przemysłu. Krawiec tej kategorii nie ma już zazwyczaj zapasów materyału, lecz przyjmuje zamówienie na podstawie próbek większych składów sukna, gdzie się w materyał dopiero po przyjęciu zamówienia zaopatruje. To są istotni krawcy, którzy pracują więcej nożycami lub żelazkiem, niż piórem, siedząc przy księgach handlowych, — doświadczenia i wprawy kupieckiej nie posiadają.

Majster trzeciorzędny wykonywa zamówienia we własnym warsztacie, który pospolicie jest także jego mieszkaniem. Czasem łączy się on ze sklepikiem, lub przynajmniej część warsztatu oddzielona jest firanką lub szafami i tworzy rodzaj kantoru.

Okoliczność, że i tu sprzęga się wynagrodzenie za robotę z wartością materyału, utrudnia egzystencję takiego majstra trzeciorzędnego, pozbawionego kapitałów; zmusza go bowiem do dawania kredytu stronom, a samego z drugiej strony obciąża kredytem składu lub fabryki sukna. Od sumiennosci i punktualności stron zawisła też i jego punktualność w spłaceniu weksli, wystawianych handlowi sukna za towar. Gdy pierwsze nie dopisze — następuje niewypłacalność krawca, kroki przymusowe ze strony handlarza sukna i częste bankructwa.

Liczba majstrów tej kategorii zmniejsza się też coraz bardziej, chociaż zawsze jest ich jeszcze dużo w Wiedniu. Zacierają się jednak między nimi z każdym dniem cecha majstra, pracującego dla stron (*Kundenschneider*), i przybiera cechę majstra pracującego na miarę i od sztuki (*Stückmeister*), na rachunek zamożniejszej firmy lub handlarza konfekcyonisty.

Majstrów od sztuki wytworzył przemysł konfekcyjny krawiecki, rozwijający się na szeroka skalę, w miarę pozyskiwania znacznie większych rynków wywozu. Spowodował on, zresztą całkiem naturalnie, ściąganie się krawców z rozmaitych stron i osiedlanie w Wiedniu, tak, że wkrótce przewaga w rzemiośle krawieckim była po stronie krawców od sztuki, pracujących na rzecz kolosalnych przedsiębiorstw konfekcyjnych. Niebawem jednak, wskutek

zanikania wywozu gotowej odzieży z Wiednia, okazała się liczba osiadłych tamże krawców sztukowych za wielką i nastąpiło szkodliwe licytowanie się co do wysokości wynagrodzenia za szycie, które konfekcyoniści umieli na swą korzyść wyzyskać.

Taryfa robocizny za robotę składową, tj. wedle szablonów i w większej ilości, jest zawsze niższą od taryfy robocizny od sukien szytych na miarę, a konkurencja pracujących doprowadziła ją do cen tak niskich, że trudno przypuścić, aby mogły one wystarczyć na utrzymanie życia. W zakresie robót konfekcyjnych wyrobił się także przemysł domowy, zatrudniający całe rodziny, aby dać możność zarobku, chroniącego od śmierci głodowej.

POLITYKA.

Gorące dni przebył znowu parlament *austryacki* w minionym tygodniu, na szczęście przebył je względnie pomyślnie dzięki energii polskiego i czeskiego wicemarszałka oraz wytrwałości stronnictw słowiańskich i sprzymierzonych z nimi konserwatystów niemieckich. Gdyby 15 godzinne posiedzenie czwartkowe i piątkowe nie było się skończyło zwycięstwem prawicy, kto wie, czyby piękny gmach parlamentu nie był już dziś zamknięty. A ewentualność ta wisiała w powietrzu, hr. Badeni bowiem miał już podobno w kieszeni upoważnienie do posłania parlamentu, który przestał już prawie być poważnym miejscem obrad i zamienił się w karczmę, do — „wszystkich dyabłów“, że się tak trywialnie wyrażymy o rzeczy jak parlament wiedeński trywialnej. Pod groźbą tej ewentualności przeszli nawet antisemici pod wodzą Luegera na stronę większości i przyczynili się w znacznej mierze do pokonania parlamentarnych ułiczników, którzy publicznie napiętnowani zostali jako prusofile i zdrajcy stanu. Trudno tutaj opisywać skandale, jakie na owym pamiętnym posiedzeniu wyprawiała obstrukcja pod wodzą Schoenerera i Wolffa, gdy widziała, że na swoim nie postawi, że zwycięstwo prawicy jest pewne i że hr. Badeni jak najmocniej siedzi w siodle, trudno powtarzać tu wszystkie najordynarniejsze wyzwiska z ulicy, jakimi się obrzucali wzajemnie reprezentanci „wyższej“ kultury, bo byśmy musieli niemi zapełnić całe lamy, a na to szkoda atramentu i papieru, wystarczy krótko powiedzieć, że owe 15 godzin wycia, uderzania w pulpity, obrzucania się wyzwiskami, a nawet poszturchiwania się, były koroną wszystkich potworności, jakie miały miejsce w wiedeńskiej radzie państwa w minionym półroczu i przejdą do historii jako plama i hańba parlamentaryzmu *niemieckiego* w Austrii.

Niewymownie pocieszającym dla nas jest objawem, że w tej krytycznej dla monarchii habsburskiej chwili narody słowiańskie, w skład jej wchodzące, znajdowały się na wysokości sytuacji, ratując państwo przed zamachem tych, którzy je zbudowali i za podpory jego dotąd uchodzili. Naturalnie daleko jeszcze do zupełnego usunięcia obecnego przysilenia, szowinizm i hakatyzm *austryacki*, choć poniósł

w zeszły piątek wielką klęskę, nie czuje się jeszcze wyczerpanym i gotów jest prowadzić dalej walkę na noże, a przynajmniej na pięści. I dla tego będzie potrzeba tak po stronie rządu jak prawicy niezwyklej energii, wytrwałości, a nie mniej i zręczności, aby zagrzezły wóz *austryacki* wyprowadzić znowu na prostą drogę.

Prócz piątkowej klęski w parlamencie poniosła obstrukcja niemiecka w zeszłym tygodniu inną jeszcze klęskę więcej moralną. Liczyła ona na sukurs *Niemców z Rzeszy*, wybierała się też do nich, aby demonstrować przeciw własnemu państwu, Wolff, Türk i towarzysze byli już prawie w drodze do berlińskiej Mekki narodowej, aby uzyskawszy błogosławieństwo od szowinistycznego „Wszechniemieckiego związku“ wrócić z pokrzepionymi siłami do Wiednia i teroryzować reprezentantów „mniejwartościowych“ narodów.

Pielgrzymka nie przysłała do skutku. Rząd niemiecki przypomniał sobie, co wińdzenie sprzymierzonej Austrii i na urządzenie demonstracyjnego zebrania berlińskiego nie pozwolił. Co więcej większa część prasy niemieckiej poczęła Niemców *austryackich* nawoływać do upamiętania, a sam półbożek niemieckiego szowinizmu cierpkie wypowiedział im słowa o obowiązkach względem własnego państwa i własnej dynastji. Najwyższą zaś dla niemieckiej obstrukcji niespodzianką jest fakt nadania hr. Badenemu przez cesarza Wilhelma właśnie w tej chwili jednego z najpierwszych orderów pruskich. Umocnia to wprawdzie chwilowo stanowisko hr. Badeniego, trzeba być jednak przygotowanym, że właśnie dla tego obstrukcja zdwoi swoje wysiłki, aby obaliwszy zniemawidzonego premiera przywrócić hegemonię niemiecką w Austrii. Oczywiście celu tego nie dopnie, jeżeli narody słowiańskie, które nareszcie po długim szukaniu się wzajemnem nareszcie się w osobach swoich reprezentantów znalazły obok siebie, wytrwają w obecnym stosunku politycznego przymierza.

Daleko przyjemniejsze stanowisko aniżeli hr. Badeni ma jego kolega ministerjalny od spraw zagranicznych, hr. Gołuchowski, który na zaproszenie króla *włoskiego* wybrał się do Monzy, aby tam umocnić podstawy trójprzymierza. Prezes gabinetu włoskiego margrabia Rudini i minister spraw zagranicznych, margrabia Venosta, stali ciągle dotąd in odore frankofilizmu, świeżo ogłoszony list hr. Robilanta narobił także wiele kwasów, stara się tedy król włoski usunąć wszelkie wątpliwości co do szczerości uczuć trójprzymierzowych i w tym celu zaprasza do siebie najwybitniejszego z polityków państw sprzymierzonych.

Wyjazd hr. Gołuchowskiego do Monzy jest mianowicie w prasie niemieckiej komentowany jako „question du jour“ wielkiej politycznej doniosłości. Na niezbyt mocnych nogach opierać się musi trójprzymierze środkowo-europejskie, skoro potrzebuje ciągłej galwanizacji.

W wewnętrznych sprawach *Niemiec* nie przestaje zapowiadana reforma sądownictwa wojskowego budzić głównego i powszechnego zajęcia. Podobno przebyła już szczęśliwie stadyum obrad w radzie związkowej i przyjęta została znaczną większością. Bawaryja zdołała, jak piszą, utrzymać dotychczasową odrębność swego

sądownictwa wojskowego. Projekt znosi dotychczasową tajność sądów i zaprowadza jawność tychże w pewnych ściśle określonych granicach. Zniesienie zostaje także przysługujące dotąd królówi prawo zatwierdzania wyroków sądów wojskowych; zrzeczenie się tego prawa wymagało ze strony cesarza wielkiego przewyciężenia się, tak mówił o tem w tych dniach przywódca centrum dr. Lieber na zebraniu w Akwizgranie. Niedawną jego podróż do Berlina i konferencyą z kanclerzem Rzeszy różni różnie tłumaczyli, mianowicie podejrzewano go, że wdaje się w targi w sprawie nowych projektów marynarskich, dla których stara się obecnie nowy sekretarz stanu Tirpitz pozyskać władzców i rządy wybitniejszych państw związkowych. Dr. Lieber zaprzeczył pogłoskom co do celu swej berlińskiej podróży, która podjęta była, jak oświadczył, wyłącznie w sprawie zniesienia banicy Jezuitów. W tym względzie nie robiono mu w Berlinie wielkich nadziei, a raczej nie zrobiono mu ich wcale. Swoją drogą centrum po raz czwarty zażąda zniesienia tej nieczemnieuzasadnionej banicy i według zapowiedzi dr. Liebera powtarzać będzie wniosek swój dopóty, dopóki opór rady związkowej nie zostanie złamany. W tych warunkach nie może się rząd spodziewać, żeby centrum jako miarodawcze stronnictwo w parlamencie zapaliło się zbytnio do jego projektów marynarskich. Mówią też, że reformę sądownictwa wojskowego rzucono jako wędkę dla stronnictw obecnej większości parlamentu i że ją rząd chce przeprowadzić na seryo o tyle, o ile wytańguje żądane okręty. Parlament ma się zebrać podobno już w końcu bieżącego miesiąca lub na początku przyszłego, sejm pruski po Nowym Roku.

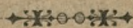
Stosunek między Hiszpanią a Stanami Zjednoczonymi Północnej Ameryki nie tylko że się od ostatniego tygodnia nie poprawił, ale się znacznie jeszcze pogorszył. Yankesi przemawiają w tonie coraz zuchwalszym, a dyplomacya hiszpańska wykręca się jak może, aby nie doprowadzić do zerwania, a może i wojny, któraby do reszty podkopała i tak już zrujnowane fundusze państwa. Nadomiar złego wiele kłopotu obecnym możnowładzcom w Madrycie sprawia były gubernator Kuby jeneral Weyler, który wprawdzie nie zdołał przeprowadzić „pacyfikacyi“ odpornej wyspy, ale za to ma tem większą buzię i odgraża się rządowi Sagasty, że po powrocie z wyspy przystąpi z nim do obrachunku na polu parlamentarnem. Rząd pragnie go ubiedz i stawia go przed kratki sądowe, aby się wytłomaczył z różnych wątpliwych manipulacyi finansowej natury i z występów popełnionych przeciw subordynacyi wojskowej. Już dawno nie był półwysep pyreński w takich opalach, w jakich się znajduje obecnie i nie ma widoków, żeby kłopotliwe położenie kraju w najbliższym czasie zmieniło się na lepsze.

Sąsiadująca z nim Francya nie może się obyć bez „causes célèbres“. Panamy jeszcze nie ukończono, a już nowa sensacyjna sprawa zajmuje opinię publiczną i zajmować będzie „rerum novarum cupidissimos“ polityków parlamentu. Chodzi o słynnego kapitana sztabu jeneralnego Dreyfussa, którego za zdradę ważnych dokumentów wojskowych posłano na do-

żywotni pobyt na odludnej wyspie południowej Ameryki, gdzie prócz strażnika żywa dusza nie ma do niego przystępu. Jeżeli prawdą jest, co z całą stanowczością utrzymuje jego rodzina, jego obrońca i specjalny jego opiekun senator Scheuer-Kestner, to człowiekowi temu stała się ogromna krzywda. Ponieważ prawdopodobnie proces w tej sprawie pod parciem opinii publicznej na nowo zostanie podjęty, przeto kronika kryminalistyki politycznej we Francyi dostarczy żadnej sensacji opinii wiele ciekawego materiału.

O pokoju *turecko greckim* najlepiej wcale nie pisać, bo przychodzi zawsze zaprzeczać temu, co się dawniej pisało. Już, już miał być podpisany i to w zeszłą środę, tak głosiły obustronne źródła urzędowe, a tu znowu sprawa idzie w odwłokę i powiadają, że przyjdzie jeszcze czekać za podpisaniem sławetnego pokoju conajmniej dwa tygodnie. Niby się też już mocarstwa zgodziły co do mianowania lotaryńskiego pułkownika Schaeffera na gubernatora Krety i nie miały zważać na protest Turcyi, — aż tu naraz pokazuje się, że do tak zw. koncertu europejskiego zakradł się dysakord, to jest, że Niemcy okazują skłonność poparcia protestu Turcyi. Nie ulega kwestyi, że gdyby nie ten koncert, byłaby Turcyja się pogodziła z Grecyą tak czy owak i nudna ta sprawa już dawno byłaby zesła z porządku dziennego.

Niniejszy przegląd polityczny kończymy wiadomością bardzo blisko nas obchodzącą, a mianowicie, że na rozkaz cara utworzony został komitet dla rozpatrzenia stosunków i spraw *Królestwa Polskiego* i że do tego komitetu powołani zostali wszyscy ministrowie, senat, arcybiskup warszawski i różne inne osobistości. Z faktu powołania arcybiskupa warszawskiego do tego komitetu możnaby wnosić, że w tej ważnej sprawie nie będą w Petersburgu radzili o nas — bez nas. Wiadomość ta wymaga jednak jeszcze potwierdzenia.



PRZEGLĄD PRASY.

Dyskusya w sprawie przyszłych wyborów na dobre się w naszej prasie rozpoczęła, a myśli, któreśmy w tej sprawie wypowiedzieli w ostatnich numerach „Pracy“ znalazły już nawet dodatni wyraz na zebraniu centralnego komitetu zachodniego dla Prus Zachodnich, który w tych dniach obradował w Grudziądzu. Obradowano tam nad ulepszeniem agitacyi wyborczej pod hasłem zgody, jedności i solidarności, a wyrozumiałość wzajemną cechuje, wymownie postępowanie dotychczasowych zasłużonych przywódców jak Erazma Parczewskiego, posła Czarlińskiego i pana Działowskiego, którzy oświadczyli gotowość ustąpienia z centralnego komitetu wyborczego, byle pozyskano do pracy obywatelskiej nowe siły z ludu. Szlachetna ta rezygnacya nie została oczywiście przyjętą, świadczy jednak wymownie o duchu obywatelskim, jakim przejęci są dotychczasowi sternicy sprawy narodowej w Zachodnich Prusach.

Niestety w Poznaniu nie zanosi się na takie zgodne współdziałanie wszystkich

w zbliżających się wyborach. Na niedawno odbytym wiecu t. zw. ruchu ludowego zabrzmiały hasła niezgody i nienawiści. Nawet zasada solidarności narodowej została zakwestyonowaną. Ponieważ „Orędownik“ nazwał tę zasadę solidarności nieszczęśliwą, odpowiada mu na to „Goniec Wielkopolski“ tak:

— »Nieszczęśliwą« nazwał »Orędownik« zasadę solidarności w sprawach wyborczych, chociaż i Bydgoszcz i Berlin zaprasza do »wspólnej roboty«. — Gdzież tu sens! Wspólna robota, to u niego rzeczą szczęśliwą, a zasada solidarności ma być »nieszczęśliwą«?

Kto takiej dopuszcza się politycznej nie logiczności, ten widocznie nie rozumiał jeszcze zadania. — Czy teraz, kiedy hakatyści zmuszają nas do tem większej zgody, czy secesyoniści z przed lat czterech układać się będą z centralną naszą władzą wyborczą z jednej strony, a z drugiej przelewać lzy krokodyle nad tem, że mimowoli jednak podług tej nieszczęśliwej solidarności postąpić będą zmuszeni?»

Na rzeczonym wiecu t. zw. „ruchu ludowego“ powiedziano, że nie można wiedzieć, czy stronnictwo to nie będzie „zmuszonym“ do rozbicia solidarności. Obawy, jakie w tym względzie żywi prasa przeciwnego obozu stara się „Goniec Wielkopolski“ rozproszyć w następujący sposób:

»My ciągle powtarzamy, że cały tak zw. »Orędownikowy« ruch ludowy jest sztuczna agitacya osobista, z którego wyleczonego można tylko tem, że mu się własną wykaże wyborczą niemoc, ale którą się rozdyma do rozmiarów olbrzymich, jeżeli się kto nieumiejętnie do tego zabiera.

Kiedy przed laty trzema dzisiejszy tak zwany »ruch ludowy« w Poznaniu tak smrotną poniósł klęskę, że nie zwyciężył ani też zginął — tylko że wygetował pokorny — to dzisiaj już nie ma mowy o tem, żeby do czegoś doprowadził.

Wtenczas stawkę przegrano, dziś »Orędownik« tak mądry, żeby na ponowną klęskę się po raz drugi nie narażał.

Próżne tedy żale i narzekania.

Tak zwany ruch ludowy kandydata swego odrębnego już stawić nie może, bo wie, żeby go nie przeprowadził.

Jakim sposobem honor swój salwować zamierza, to powoli na wierzch zacznie wychodzić, ale wszystkie głowy zapalne lub płacziwe dusze niechaj pamiętają o tem, że dzisiaj czasy już inne jak przed trzema laty,

że robotnicy niemieccy nie będą głosowali na Polaka socjalistę Morawskiego,

że żydzi poznańscy nie będą nas kusili, abyśmy głosowali na p. Jaeckla, np.,

że czytelnicy organów tak zw. partii ludowej sami swego kandydata secesyonistycznego żadną miarą nie przeprowadzą,

że nie pozostaje nam Polakom nic innego, jak wspólnie głosować na jednego, więc zgoda być musi, a kto się nie zgodzi, ten przepadnie z kretesem«.

Zyczyć sobie należy, żeby te przypuszczenia nie okazały się optymistycznymi. I my nie tracimy jeszcze nadziei, że obóz bylejsz secesyi przyjdzie do upamiętania, że rozbijaniem solidarności narodowej uprawiałyby interesu wspólnych naszych wrogów, i że w ostatniej chwili pobudowane zostaną złote mosty zgody i wzajemnego wyrozumienia.

Do akcji wyborczej zabierają się też energicznie nasi kresowi bracia Mazurzy w Wschodnich Prusach, napotykać jednak na coraz większe trudności. Celem utworzenia „Partyi ludowej mazurskiej“, zwołali więc w jednym z lokali publicznych w Elku. Gospodarz lokalu, zastraszony przez wschodnio-pruskich junkrów w ostatniej chwili odmówił gościnności ludowi mazurskiemu. W braku lokalu zaprosił redaktor „Gazety Ludowej“, p. Karol Balerke, rodaków do swego mieszkania. Policja nie pozwoliła na to, choć według przepisów ustaw nie miała do tego prawa. Oczywiście trudności takie zdolne są tylko podniecić lud mazurski i obudzić ich samowiedzę narodową. Odmawianiem lokali na zebranie nigdy jeszcze nie zwyciężono stronnictwa, które wie, do czego dąży. Nie tak, to w innej drodze przyjdzie „Partya ludowa mazurska“ do skutku. Ponieważ inicjatorom ruchu zarzucano według utartej mody zamiar spolszczenia Mazowsza wschodnio-pruskiego, przeto cele mającego się założyć stronnictwa objawia „Gazeta Ludowa“ w następujących dosadnych słowach:

»Mazurska partya ludowa nie myśli zajmować się żadnymi głębszymi sprawami politycznymi; a głupie mrzonki, wylgłe w łabach konserwatystów o wielkopolskiej agitacji, oderwaniu się od Prus itd. uważa jako kwiecie chorej fantazji. Dążności partyi do zachowania czystego języka nie może żaden rozsądny człowiek poczytywać za jakąś akcję polityczną lub zdrożną, bo przecież w konstytucyi nie jest powiedzianem, że tylko po niemiecku mówiący podani pruscy są mili królowi i państwu. — Przed laty wiodło się Prusom bardzo dobrze, mimo, że na Mazurach mówiono więcej po polsku jak dziś. Na domiar wystarczy, że nie trzeba wszystkiego tepić, co polskie, bo i książęta pruscy byli do roku 1660 lennikami królów polskich i składali publicznie na rynku krakowskim hold w dowód poddaństwa Polsce. W tej myśli zaznaczamy jeszcze, że nie chodzi nam wcale o polonizowanie Mazowsza, lecz tylko nieoświecone Mazowsze doprowadzić do dobrobytu, umoralnienia i na drogę postępu. Że czynimy to w polskim języku, to naturalnie dla tego, ponieważ znajdujemy więcej przystępu do ludu i ostatecznie, ponieważ droga do prawdziwej oświaty, umoralnienia i dobrobytu nie prowadzi tylko wyłącznie w języku niemieckim. Prawda, wolność i prawo nakazują nam także szanować nasz język macierzyński, a którym był, jest i będzie polski.

Pomyślnym dla nas wyrokiem sądu administracyjnego w Berlinie w sprawie rozwiązywania zebrań polskich zajmuje się także prasa warszawska. Jedno z najwybitniejszych pism, wychodzących w Warszawie, „Gazeta Polska“, robi z powodu tego wyroku takie uwagi:

»Gdyby p. v. der Recke chciał *ex post* ulegalizować to, co trybunał ogłosił za nielegalne. Ale atmosfera, jaką stwarza wyrok, nie daje wzmocnionej podstawy do nadziei, że inicjatywa w tym kierunku znalazłaby poparcie parlamentu. Choćby więc p. minister wystąpił z projektem nowego ograniczenia prawa zebrań, sądzimy, że nie udałoby mu się go przeprowadzić. Zbyt to jest sprawa drażliwa i zbyt samych Niemców pośrednio dotycząca, aby parlament chciał się hazardować na drogę takich ograniczeń. Czy jednak rząd nie będzie

chciał się odszkodować na innej drodze, za pomocą innych środków wyjątkowych przez wzmocnienie kolonizacji np., to jest jeszcze kwestya otwarta. Tu może będzie próbował szczęścia i choć naturalnie pragnęlibyśmy, aby bez powodzenia, nie chcemy zapewniać, że nie znajdzie poparcia.

Po pomyślnym wyroku w sprawie rozwiązywania zebrań polskich przypomniał sobie zachodnio-pruski poseł dr. Rzepnikowski równie pomyślny wyrok tej samej instancji w sprawie polskich teatrów amatorskich. O kroku wspomnianego posła pisze „Pielgrzym“ pelpliński:

W sprawie polskich teatrów zapadł wyrok, że policja nie ma prawa żądać niemieckiego tłumaczenia polskich utworów dramatycznych przedstawianych w teatrach amatorskich.

Tak rzecz rozstrzygnął najwyższy sąd administracyjny. W uzasadnieniu wyroku czytamy między innymi:

„Powolywanie się policji na ustawę o języku urzędowym jest w tym wypadku nie na miejscu, ponieważ petenci, żądający pozwolenia na przedstawienie amatorskie dostarczyli egzemplarzy oryginalnych odnośnych utworów dramatycznych. Rzeczą policji jest postarać się, gdy uważa to za potrzebne o tłumaczenie niemieckie.“

W poszczególnym przypadku (lubawskim) rozstrzygnął także naczelny prezes Prus Zachodnich p. von Gossler. Rzecz się tak miała.

Poseł lubawski p. Dr. Rzepnikowski zameldował w Lubawie teatr amatorski, a na żądanie tłumaczenia ze strony burmistrza, żądał się wprost do ministra, stawiając wniosek, aby minister spowodował rejencją kwidzyńską do zniesienia znanego rozporządzenia, na mocy którego policja rządu tłumaczenia. Na to otrzymał pan dr. Rzepnikowski odpowiedź od naczelnego prezesa z Gdańska i zawiadomienie, datowane 18 października, że zasłane p. ministrowi zażalenie uważa za załatwione, „gdyż prezydent kwidzyński rozporządzeniem z dnia 27. września burmistrzowi w Lubawie zgañił jego postępowanie i nakazał, aby w przyszłości już tego nie czynił.

Decyzja to dla nas pomyślna, lecz ma na razie znaczenie tylko lokalne, ponieważ p. Gossler rzecz tak urządził, że by się odnosiła tylko do Lubawy. Oczywiście, że i inne Towarzystwa polskie, urządzające teatra amatorskie, winny policji przedkładać tylko polskie egzemplarze sztuk teatralnych, a w razie przeszkód ze strony policji, mogą się odwołać na wyrok sądu administracyjnego, gdyż on rzecz rozstrzyga zasadniczo. Heca, jaką hakatyści w Prusach urządzili przeciw Polakom, zwróciła naszym rodakom w Królestwie uwagę na kolonizacyą niemiecką pod zaborem rosyjskim. „Gazeta Polska“ omawia stosunek kolonistów niemieckich czyli tak zwanych holendrów i na pytanie, z kąd się wzięły w Królestwie takie ich masy, taką daje odpowiedź:

„Po pierwszym i drugim podziale włościanie z dzielnie podpadłych tumanie uchodzili na uszczuplone terytorjum Rzeczypospolitej, rzucając ziemię i dobytek. Zwrócono się do chłopów pomorskich brandenburskich i saskich. By ich przynęcić, dawano im najlepsze warunki. Prócz tego, rząd pruski, objawszy kraj po Wisłę i Pilicę, forsownie prowadził kolonizacyę w dawnych dobrach szlacheckich, królewskich i narodowych. Za rozkazem gabinetowym sprowadzano tłumy protestantów z Prus, wycinano lasy, palono je, by prędzej osadzić kolonistów; szła to nawała na polską ziemię, niby ongi szarańcza krzyżacka“

Jednym z warunków zachęcających do tego najazdu — było zapewnienie kolonistom najzupełniejszej samodzielności, dzięki której koloniści zawsze sami decydowali o swoich sprawach wspólnych, szkolnych i kościelnych, bez obcej interwencji ani pomocy. To wyrobiło u nich zmysł do przedsięwzięcia zbiorowych.

Chcąc podnieść dobrobyt ekonomiczny włościan polskich radzi „Gazeta Polska“ wzorować się na kolonizacyi niemieckiej i takie w tym względzie daje rady:

„Najważniejszym jednak postulatem winno być podniesienie wartości ekonomicznej pracy zagrodnika: trzeba mu dać szkołę taką samą, z jakiej korzystają holendrzy według ukazu z roku 1849, do której sami wybierają nauczyciela-kantora; podobne prawo przyznał gromadom wioskowym ukaz z r. 1864, lecz praktyka minęła się z prawem pisanem. Tylko dobra szkoła, idąca ręką w rękę z kościołem, dać może lekarstwo na chłopskie wady, na jego upadek moralny, tę największą winowajczynię jego niedoli. Trzeba dać ludności polskiej to, z czego korzysta niemiecka, a wtedy zniknie i odrębność kolonii niemieckich.“

Straszny wypadek samobójstwa dwudziestokilkuletniego młodzieńca z powodu przemarnowania znacznej schedy ojcowskiej przez grę w karty poruszył w Poznaniu całą opinię i poruszył sumienie publiczne. W sprawie tej piszą z Poznania do gnieźnieńskiego „Lecha“:

Nasze społeczeństwo jest ubogie. Jakaż to kłeska dla naszej sprawy, jeżeli młodzieńiec traci życie i uszczupla majątek narodowy o 52,000 marek. Hełby z tym kapitałem przy energii i zawodowym wykształceniu można sprawić dobro! Niestety karty i pijalstwo zgotowały śmierć bez chwały synowi zanej rodziny i zaprzepaściła tak znaczny kapitał.

Niedawno karty spowodowały pojedynek przy Poznaniu dwóch właścicieli ziemskich.

Jeden z książąt polskiego rodu przegrał w karty pięć milionów marek, za co dano mu dymisya z pruskiej armii. W środkim powiecie piękna wieś z powodu kart przeszła w ręce kolonizacyi... Hełby można wymienić dóbr, które przegrali właściciele w karty!

U nas w Poznaniu przed mniej więcej 20 tu laty utracił życie właściciel dóbr Chełmiecki. Mając przy sobie 30,000 talarów, zasiadł do gry z trzema graczymi, którzy go zachloroformowali i zabili. Ciało wynieśli w pudle i wrzucili w Odrę. W Wrocławiu wydobyto zwłoki i pochowano. Zbuje ogolili trupa, aby utrudnić poszukiwania.

Jeżeli ma u nas zakwitnąć dobrobyt, jeżeli chcemy zaczerpnąć potrzebnej siły do odparcia nacisku germanizacyi, trzeba przedewszystkiem uczynić rozbrat z pijalstwem i karciarstwem, które są naszymi największymi narodowymi wadami.

W pięknym artykule wstępnym zajmuje się tą sprawą „Dziennik Poznański“ i takie trafne o grzechu karciarstwa robi uwagi:

Mówią dość powszechnie, że kogo stać na grę w karty, temu zabronić nie można „niewinnej zabawy“

Ale właśnie, że zabawa ta nie jest niewinną, bo prowadzi w ostateczności to najohydniejszych zbrodni. A ci, którzy uchodzą chęć za uprawnionych do gry, najczęściej uprawnienie to w sobie wmawiają.

Jestesmy społeczeństwem biednym i na żadne sobie nie możemy pozwalać wybrki, a najmniej na zabawy, które codziennie lub choć-

by raz na tydzień, kończą się różnicą setek i tysięcy.

Oby wszyscy mający głos w społeczeństwie do tego obowiązku się poczuli; bo głosy odo-sobnione nie nie poskutkują. Wszyscy ojcowie i wszystkie matki, żony i siostry, wszystkie starszyzna rodzinna, obywatelska, wszyscy oj-cowie duchowni, powinni podnieść głos swój, żeby wytepić tę niecnotę karcjarstwa, najgro-źniejszą z wszystkich naszych błędów społe-cznych.

Z pijaństwa się można wyleczyć, od złodziej-stwa odstraszyć karą surową, na karcjarstwo tylko niema ani lekarstwa, ani więzienia, są nawet „honorowe“ przepisy. Jedynym środ-kiem przeciwko niemu bież boży opinii, która zawsze i wszędzie jest dotąd zbyt pobłażliwa. Oby się co rychlej zdobyła na stanowcze sło-wo i stanowczy czyn — uzdrawiający.

KORESPONDENCJE.

Z miasta, dnia 10 listopada.

Nie przebijająca w środkach agita-cya stowarzyszenia niemczyzny, zaostryw-szy w niemożliwy sposób stosunki pomię-dzy dwiema narodowościami, zamieszka-jąciami wschodnie kresy monarchii pru-skiej i w samym tutejszym obozie niemie-ckim, wywołuje coraz silniejsze rozdwo-żenie. Z samej bowiem natury rzeczy od-wracają się od niecnej tej, podyktowanej najgorszymi instynktami, roboty wszelkie jednostki społeczeństwa niemieckiego, które nie zatracili jeszcze w sobie poczucia słuszności i sprawiedliwości. Przytem wchodzą tutaj w grę także polityczne motywy; a mianowicie fakt, że zastępcy „hakatyistów“ rekrutują się wyłącznie pra-wie z wyznawców zachowawczych i na-rodowo-liberalnych przekonań. Wolno-myślnie więc żywiły, a jest ich dziś dość wiele w W. Ks. Poznańskim, a zwłaszcza w Poznaniu, już z politycznych względów stronią od osławionego związku trzech li-ter. Do niedawna jednak polityczny ten antagonizm nie przeszkadzał pojedynczym niemieckim stronnikom łączyć się z sobą, gdy chodziło o wspólną akcyę przeciw Polakom, a więc w czasie wyborów do sejmu pruskiego lub parlamenlu niemie-ckiego. Obecnie dość poważne dane zdają się przemawiać za tem, że w zbliżających się wyborach do parlamentu niemieckiego nastąpi w niektórych okręgach W. Ks. Poznańskiego i Prus Zachodnich sojusz pomiędzy wolnomyślnymi Niemcami a Po-lakami. Jeśli bowiem nie innego, to od-rzucony przed niedawnym czasem przez pruską izbę deputowanych projekt reformy prawa o zebraniach i stowarzyszeniach politycznych przekonał wszelkie liberalne jednostki społeczeństwa niemieckiego o tem, jakie niebezpieczeństwo zagraża tak już niezbyt obszernej w Prusach swobo-dzie obywatelskiej, w razie dojścia do skutku większości zachowawczej w ciele prawodawczem. Wobec tego nie na wiele się zdadzą wszelkie umizgi tutejszych dzienników zachowawczych i apelacye do patryotycznego sumienia wolnomyślnych Niemców, oraz wystawianie na wszelkie tony i sposoby niebezpieczeństwa, na ja-kie narażona jest jakoby „wielka ojczy-zna“ ze strony wzmagającego się na si-lach polonizmu. Obeznani dokładnie z

tutejszemi stosunkami Niemcy wolnomyślni wiedzą dobrze, co sądzić o tych prośbach i obłudnych skargach swych szowinisty-cznych „landsmanów“. Miarodajny organ tutejszego liberalnego obozu niemieckiego, „Posener Zeitung“, daje też energicznie odprawę poruszanemu przez zachowawcze organa prasy projektowi sojuszu wybor-czego pomiędzy wszystkimi stronnictwami niemieckimi.

O ile sądzić można z ogólnego na-stroju, panującego w naszym społeczeń-stwie, walka wyboreza pomiędzy pojedyn-czymi stronnictwami polskimi będzie mniej zacięta, niż poprzednim razem. Tak np. ruch ludowy szczerzyć nie będzie sta-rań, aby zapewnić swemu kandydatowi przynajmniej mandat poselski z miasta Poznania; wątpić jednak należy, aby wy-siłki te upragniony uwieńczył skutek. Na prowincyi zaś ruch ten nie wykazuje do-tąd cokolwiek znaczniejszych postępów. Rozstrzygająca tutaj ludność wiejska w dalszym ciągu trzyma się niezłomnie przy-rodzonych swych kierowników: przedsta-wicieli wielkiej własności ziemskiej i du-chowieństwa i nie daje się przez szumne lecz, pozbawione treści, frazesy, sprowa-dzić na manowce. W ogóle, dzięki jedno-ści w naszym obozie i prawdopodobnemu sojuszowi z wolnomyślnymi Niemcami, wi-doki nasze co do wyniku nadchodzącej kampanii wyborczej są dość pomyślne.

Wracając raz jeszcze do antagonizmu tutejszych niemieckich sfer wolnomyślnych przeciw stowarzyszeniu szerzenia niem-czyzny, zaznaczyć wypada, że w części antagonizm ten tłómaczy się także egois-tycznymi pobudkami. W sferach tych wy-bitne, a nawet górujące stanowisko zaj-mują żydzi, którzy zupełnie słusznie w ucie-leśniewym najwstrętniejszy, prześladowający wszelkie odrębności narodowe i rasowe szowinizm, „hakatyizm“, podejrzewają obok antypolskich także antysemickie ten-dencye; walcząc przeciw „hakatyistom“, bronią jednocześnie i własnej skóry. Do-póki bowiem chodziło wyłącznie o wyna-rodowanie i gnębienie Polaków, żydzi poznańscy należeli do najgorliwszych, a przynajmniej do najkrzykliwszych rzeczników germanizacyi.

Z Częstochowy, 9 listopada.

Jako człowiek pracy i wierny abonent „Pracy“, lecz nie literat, pozwalam sobie przesłać Wam wiadomość o nowo otwie-rającym się polu dla pracowników wszel-kiego rodzaju, — lecz nie piórkiem, ale młotem, pilnikiem lub kilofem.

Mam tu na myśli wielką hutę żela-zną, wznoszoną obecnie u nas, przez To-warzystwo Akcyjne B. Hantke z War-szawy.

Huta położona jest przy samym torze głównym drogi Wiedeńskiej, po lewej stronie, o trzy wiorsty od miasta, gdzie urządzony będzie przystanek towarowy.

Z obszernej niziny rzeki Warty, bli-zko 4 włóki, ogrodzono tymczasem 1/3 część i tam rozpoczęto budowę z począ-tkiem września rb., a dziś widzimy już potężne mury „wysokiego pieca“ i kilka dużych budynków fabrycznych z kamienia i cegły.

Smutna rzecz, iż przedsiębiorca robót mularskich jest Niemiec, chociaż wszyscy robotnicy wraz z podmajstrzymi są rodo-wici Polacy miejscowi lub z Górnego Ślązka katolickiego. Aleć powiedzmy so-

bie prawdę na ucho, że trudnoby u nas było znaleźć tu majstra, któryby w jakie 8 tygodni zdołał wykonać tak poważną robotę.

Obecny przedsiębiorca dobrze tu zna-ny, przywozi od razu cały zastęp wybor-nych robotników, buduje im koszary, ma cały arsenał naczyń, narzędzi, pomp, ru-sztowań i przystępuje do roboty energi-cznie na całej linii, bez żadnych zaliczek, długów i kłopotów. Robota mularska wy-konywa się wzorowo.

Wedle wieści, od dziś za rok ma pójść w ruch: Wielki piec na półtora milio-na surowizny i walcowania żelaza i stali, więc pole dla pracowników obszerne.

Nadto odkrywa się też nader obszer-ne pole pracy dla górników, którzy tu formują się dopiero z miejscowej ludno-ści. Roboty podziemne prowadzą się w tuteszej okolicy dopiero od lat kilku i pierwszą rolę gra huta Bankowa z Dą-browy, oraz huta Katarzyna z Sielc. — Francuzi potęgą swojego kapitału zdobyli tu znaczne obszary. — Nowe Towarzystwo, działające powoli a dobrze, posiadało już bardzo poważne kopalnie w okolicach miasta i wzdłuż drogi żelaznej i czyni poszukiwania, oparte na podstawach nau-kowych.

W miarę postępu budowy nowej hu-ty, będziemy informowali naszych braci kwoli zdobycia kawałka chleba. Słychać, że i huta Bankowa nosi się z zamiarem budowania drugiej huty, co daj Boże!

Sz.

Paryż, 7 listopada.

Roboty przygotowawcze do wystawy wszechświatowej w r. 1900-m rozpoczęły się już na dobre. Według planów osta-tecznych Trocadero pozostanie bez zmiany, natomiast zniknie pałac Przemysłu i za-stąpiony będzie przez dwa, w części z ka-mienia zbudowane pałace, które staną naprzeciwko siebie, na nowej, prowadzącej od Pól Elizejskich do Sekwany „avenue“ Aleksandra II-go. T. zw. mały pałac, — pałac Guirault, ma się stać w przyszłości własnością miasta Paryża i w r. 1900-m służyć z dwiema wielkimi galeryami za miejsce retrospektywnej wystawy sztuki. Wielki pałac będzie miał 195 metrów długości i 46 metr. szerokości. Na Es-planadzie Inwalidów stanie nowy dworzec kompanii kolei zachodnich, a po za tem galerye wystawy szkolno-pedagogicznej. Tutaj pomieszczą się także pawilony sztuki dekoracyjnej i różnych gałęzi przemysłu. W kierunku ku polu Maisowemu staną najpierw pawilony obcych mocarstw, a na-stępnie wystawy armii lądowej i morskiej, które się rozciągną aż po za Sekwanę. Wzdłuż Cours-la-Rheine, jednej z najpięk-niejszych ulic, a raczej „avenue“ Paryża, wzniesione będą pawilony z działu ogrod-niczego, oraz urządzone plantacye. U stóp Trocadero, w połowie na wodzie, w po-łowie na lądzie, pomieszczą się produkty kolonii. Na Polu Marsowem, w samym środowisku wystawy, grupują się oddziały nauki, przemysłu i sztuki, dalej artykuły spożywcze, dział maszyn i t. d.

Jako ostateczny termin nadsyłania deklaracyi oznaczono 1-y lutego r. 1899; otwarcie nastąpi dn. 15-go kwietnia w Wielkanoc. Cena wejścia wynosić bę-dzie 1 fr., może wszakże być mocą po-stanowienia ministerjalnego podwyższona w okolicznościach wyjątkowych. „Clou“

wystawy jeszcze nie został obmyślony; trudno będzie w istocie wynaleźć coś, co by zastąpiło wieżę Eiffla. Pomysłów, projektów otrzymuje komitet wystawowy setkami; większość wszakże jest wprost dla swej fantastyczności niewykonalna. „Ulicę Kairu“, która na ostatniej wystawie cieszyła się takim powodzeniem, ma zastąpić ulica japońska. Wzniesiony też ma być pałac z soli kamiennej, sprowadzonej z Rumunii, który, zarówno w blasku słońca, jak w oświetleniu elektrycznym, wywoływać będzie jakoby magiczne efekty. Deszcz nie jest podobno w stanie uszkodzić takiej masy. Wreszcie urzeczywistniony też ma być projekt urządzenia wybrzeża morskiego w rodzaju cyrku, z prawdziwym piaskiem morskim, muszlami, morską roślinnością, urwiskami i nieustannie odnawianą wodą morską, którą maszyny odpowiednio utrzymają w rytmicznym ruchu. Dotychczas rozpoczęto budowę obu pałaców i mostu Aleksandra III-go, a roboty te wraz ze zburzeniem pałacu Przemysłu i „Jardin de Paris“ muszą być skończone w ciągu roku i tak prowadzone, by ruch w sąsiednich dzielnicach nie uległ nigdzie przerwie.

Możemy znaleźć się bez mięsa; 3000 robotników, zajętych w rzeźniach miejskich, zawiesiło pracę, żądając skrócenia zbyt długiego dnia roboczego i usunięcia pośredników między przedsiębiorcami a robotnikami. Przedsiębiorcy opierają się dotąd tym żądaniom, a nawet wydaliłi głównych przywódców stowarzyszenia robotniczego.

Ważna nowina dyplomatyczna: król Francji żeni się... Ten „król Francji“ tymczasem jest pro prostu kupcem win w Lunel, w departamencie Hérault. Mam na myśli Augusta Burbena-Naundorffa, potomka Ludwika XVII-go, który według tradycji tej rodziny, uciekł z więzienia w Temple. Głowa tego domu, bezdzietny Karol XI-ty mieszka w Holandji, w Teteringen; dwaj zaś jego synowcy, August, starszy, i młodszy Karol, zarabiają handlem win na skromne utrzymanie. Augustowi podobała się córka mieszczanina z Lunel, panna Małgorzata Cuillé, a głowa domu, „Karol XI-ty“, pozwolił na ten meżalans ze względu na położenie, w jakim się obecnie potomkowie królewscy znajdują.

Panna Conesdon, głośna „prorokini“, nie przestaje prorokować, a jej prorocтва zapisuje piśmko „Echo du Merveilleux“. W ostatnim numerze znajdujemy obok zwykłych przepowiedni o klęskach, mających spotkać Francję, i odbudowaniu monarchii, zapowiedź, że Turcja zostanie rozebrana, a Konstantynopol dostanie się... Francji.

Listy z podróży.

II.

W Niemczech są dwa miasta, w których centralizuje się handel niemiecki, z tych jedno jest w poprzednim liście opisany Berlin, jako centrum przemysłu fabrycznego, a drugie jest Hamburg, jako centrum handlu eksportowego. Całe położenie Hamburga ze swoim jeziorem, tak zwanem Alster, łączącym się z Elbą i kanałami przypominającymi Wenecją, wreszcie z portem, który w samym mieście położony największym okrętem pozwala dobijać do brzegu, robi wrażenie zupełnie

odmienne tak iż czuje się, że z miasta tego droga na cały świat otwarta, a przestrzeń między Europą a krajami zamorskimi traci na ogromie jaki mieszkaniec na dalekim lądzie sobie przedstawia. Tak samo jak w położeniu miasta, tak w mieszkańcach tegoż pewną odrębność zauważyć można. O ile n. p. Berlińczyk dumny jest i zarozumiałym na wielkość pangermańską, a militarystą objawia się tak w stosunku urzędowym jak i w społecznym na każdym kroku, o tyle Hamburgczyk jest więcej jowialny, posiada cechę więcej międzynarodową, arystokrację zaś ma tylko złożoną z patrycyuszów, którzy pewni swej potęgi finansowej, innej nad sobą nie uznają. Sam widok pobrzeża Alstry począwszy od tak zwanego „Jungfernsteg“ głównej przystani statków, pełniących służbę dorozek lądowych między główną arterią miasta, gdzie jest giełda i ratusz, a przedmieściami, otaczającymi olbrzymie to jezioro, jest nadzwyczaj wspaniałe, wszędzie wille gustownie zbudowane z tarasami i ogrodami, które jak wianek opasują jezioro pełne statków czyli jachtów spacerowych, począwszy od wielkości gondoli pokrytej baldachimem z kosztownej materii, a skończywszy na miniaturowych okrętach o motorach elektrycznych benzynowych lub naftowych, przeznaczonych na usługi właścicieli will i ich personelu, zaś widok pięknych ulic, wspaniałych kawiarni i sklepów dopełnia obrazu ruchu i życia, które takie bogactwo i tak rozwinięty handel jedynie dać mogą. Osia całego nieomal ruchu, tak handlowego jak społecznego jest tutaj giełda, tu się reguluje ceny wszystkich artykułów, tworzą instytucje, zawierają spółki, tworzą mariaże, zdobywają stanowiska, wogóle wszystko się tutaj załatwia, co w innych miastach pojedynczo w urzędach, kantorach i salonach zwykle się skutecznia. Gmach giełdowy jest to olbrzymi czworobok zbudowany na filarach, które podtrzymują sklepienia, zarazem służą jako placówki dla pojedynczej kategorii handlu. Filarów tych jest około czterdzieści kilka i tworzą takowe kierunkiem rzędów oddzielne place, które zajęte są w jednej części przez świat kupiecki zajmujący się operacjami bądź bankowymi i zbożowymi, bądź handlem artykułów spożywczych i fabrycznych. U wejścia, poza obrębem sali giełdowej znajduje się kolumnada zewnętrzna, gdzie zbierają się właściciele statków towarowych i rybackich i ci tamże okręta swoje nabywają lub sprzedają. Czas sesji giełdowej rozpoczyna się o godzinie drugiej i trwa do godziny piątej, wstęp ma każdy byle przyzwoicie ubrany za biletami od drugiej do czwartej po trzydzieści fen. od osoby, a później bez biletów. Ilość stałe na giełdę uczęszczających będzie około sześć tysięcy i mimo że zachowanie się hamburskich giełdźarzy nacechowane jest pewną powagą i nie ma tych komicznych epizodów, które na giełdach berlińskiej i wiedeńskiej obserwować można, szum ludzkich głosów tak jest potężny, że o kilkaset kroków już go się słyszy, wewnątrz zaś zdaje się wchodzącemu, że znajduje się w olbrzymiej hali maszyn, w której setki motorów w nieustannym są ruchu z tą różnicą tylko, że echo tychże chwilowo potężnieje, a chwilowo słabnie. Właściwością kupców hamburskich, a dla sprzedających nie bardzo przyjemną jest to, że bezpośrednio z producentami interesów

nie załatwiają, lecz używają pośredników tak zwanych maklerów. Maklerzy ci zarabiają miliony, zwłaszcza w handlu zbożowym, a że firmy mają protokołowane i są przeważnie ludzie i sumienni, oraz zaufania godni, przeto i strona sprzedająca i kupująca — pośrednictwo a nawet towar spokojnie powierzyć im może. Jeszcze jedną ujemną stroną wymieniać wypada, że kupiec hamburski niechętnie kupuje jakkolwiek towar prędzej, póki go niema na miejscu, jeżeli czyni jakie wyjątki w tym względzie, to dla zagranicy regułę ściśle zastosuje, a to rzekomo wskutek smutnych doświadczeń, jakie z zagranicą poczynił. *Mimo wymienionych stron ujemnych, może Hamburg stać się prawdziwym Eldorado zbytu dla handlu eksportowego, lecz tylko w kierunku zbożowym oraz dla artykułów spożywczych jakie rolnictwo produkuje.* N. p. zboże, które u nas mieszkańcami nieraz leży w śpichlerzach zazwyczaj źle wentylowanych, a które sprzedać potem rolnik jest zmuszony za cenę jaką miejscowi eksporterzy postanowią, lepiej jest wysłać takowe w jakiegokolwiek ilości, począwszy od jednego wagonu wprost do Hamburga, oddać maklerowi, który je za bardzo małą opłatę w śpichlerzach portowych przechowuje a następnie na żądanie telegraficzne lub piśmienne sprzedaje. Ponieważ śpichlerze portowe osobny mają zarząd, który obejmuje gwarancją za jakość i ilość towaru przechowanego, przeto ryzyka nie ma tutaj żadnego, przeciwnie ma się sposobność wyzyskania każdej sytuacji z ominięciem pośredników miejscowych, którzy, jak obecnie, korzyści do swojej kieszeni zagarniają. Tak samo ma się rzecz z drobnymi artykułami, jak fasolą, cebulą, przędziwem, a nawet miodem. Przy artykułach tych nie wagonami, ale pojedynczymi centnarami można wysyłki skutecznie, naturalnie umawiając się poprzednio z pewną firmą maklerską, która towar wysłany obejmuje i pod firmą właściciela albo swoją w śpichlerzu umieszcza. Dla Polaków, nie mogących lub nie chcących korespondować po niemiecku, zaleca się firmę polską w Hamburgu T. Filipowicza, która, jako protokołowana, wszelkie wymienione wyżej interesa załatwiać jest w stanie. P. Filipowicz znany jest już we Lwowie i w Poznaniu, gdzie na temat eksportu i handlu miał w roku 1896 odczyty. Miały one dać inicjatywę do samodzielnego organizowania się spółek eksportowych, lecz głos jego był dotąd głosem wołającego na puszczy i dopiero Poznańskie, rozumiejąc swój własny interes za jego współudziałem myśl bezpośredniego eksportu podjęło i zdaje się na tem źle nie wychodzi. Ponieważ p. Filipowicz ma filię swojej firmy hamburskiej w Poznaniu, przeto pisać po informacye i do Poznania adresować można. Z artykułów innych mianowicie w zakresie tkacwa wchodzących jedne grube płótna zbyt by znaleźć mogły, jeżeli cenami równać się będą wyrobom czeskim, które dotąd mimo że również ręcznie wyrabiane tańsze są od naszych. Kilimy nadadzą się jako towar eksportowy do Ameryki jak również obrazy Świętych, tkane lub malowane, jednak należy wprzód wysłać partje pojedynczych artykułów do Hamburga, temsamem dać możność zaznajomienia się klienteli amerykańskiej, przybywającej do Hamburga, z naszymi wyrobami. O stosunkach emigracyjnych, zwłaszcza do Brazylji tak sprzeczne słyszy się wieści, a

wiadomości z gazet tak są nieraz mylne, że trzeba być bardzo ostrożnym, aby nie narazić się na nieprzyjemności.

Będąc w Hamburgu poznałem p. Smółkę, właściciela hotelu, który mnie prosił, ażeby objaśnić w kraju zamierzających emigrować do Brazylii, że rząd brazylijski w ostatnim czasie emigrantów rolników pochodzenia słowiańskiego bądź to z Austrii, bądź z Rosyi, a jadących na pokładzie, do kraju nie przyjmuje, a okręta odchodzące z Hamburga do Brazylii emigrantów takich mimo paszportu i zapłaconej karty okrętowej, jeżeli tylko: emigrant jest Polakiem lub Rusinem — na pokładzie nie przyjmują. Byłem naocznym świadkiem faktu, że jedna młoda dziewczyna z Galicyi, której rodzice dawniej wyemigrowali, przybyła do Hamburga celem udania się najbliższym okrętem do Brazylii. Dziewczyna ta miała paszport, kartę okrętową już zapłaconą, oraz czterdzieści dolarów pieniędzmi, mimo to na pokład przyjąć jej nie chciano. Pan Smółka o tem się dowiedziawszy poszedł z nią do konsula austriackiego, którego o wstawienie się do konsulatu brazylijskiego prosił, konsulat brazylijski jednak kategorycznie w obec nakazu swego rządu pozwolenia na wyjazd odmówił, a dziewczynie owej nie innego nie pozostało jak wracać, wydawszy wszystkie pieniądze na drogę do domu. Najlepiej zatem, jeżeli chcący emigrować najprzód do Hamburga po informację się odniesie, które p. Smółka mający ciągle stosunki z portem i władzami tamtejszemi, najpewniej udzielić jest w stanie, gdyż jak się pokazuje, ustawy rządu brazylijskiego tak są zmienne, iż bez każdorazowego informowania się trudno jest na nich polegać.

Jeszcze kilka słów o „Wystawie ogrodniczej“. Opisywać nowości kwiatów i krzewów nie mam zamiaru, uczynili to inni więcej fachowi, pragnę tylko zaznaczyć, że komitet wystawy zarówno rozmaitością i mnogością flory jak i efektem światła elektrycznego chciał zaimponować. Ostatnie w zupełności mu się udało, widok bowiem tych dwóch wytworów światła i powietrza, harmonijnie ze sobą złączonych, jest niezrównany i niewiedzieć co tutaj więcej podziwiać, czy siłę przyrody, czy siłę sztuki. Po raz pierwszy widziałem światło elektryczne, zastosowane do podniesienia barw kwiatowych w Królewcu, było to w roku 1882; wówczas jednak prócz światła białego, umieszczonego wśród kwiatów róż i azalii kolorowych niezauważyłem, w Hamburgu zaś światło elektryczne we wszystkich kolorach tęczy tak magicznie podniosło efekt barw wszelkiego kwiecia, że grupy pojedyncze ośniewały formalnie siłą kolorytu, który mienił się w blasku światła jak w kalejdoskopie. Trafłem szczęśliwie na iluminację wystawową. Iluminowane było wszystko: hale kwiatowe, gazony, grupy drzew; brzegi kanału przerzynającego plac wystawowy, most wiszący nad kanałem, kioski, grotty, a nawet łudki obsiane tyły świecielkami, a co ciekawsze, siłą elektryczności poruszane. Nad tem wszystkim górował silny promień światła wychodzący z wieży, dominującej nad halą kwiatową, a przecinającej szeroką swą smugą świetlaną plac wystawowy, czyniąc z tego skrawka ziemi świat zupełnie odrębny, w którym nasładowane były i słońce i księżyc i gwiazdy. Jeżeli do tego słyży się dźwięki niezliczonych orkiestr i echo rozbawionego tłumu

zwiedzających, ma się obraz przed sobą tak uroczy, że trzeba go widzieć, aby odczuć całe piękno, jakie natura przy nadanym kierunku ludzkim stworzyć jest w stanie. Jak daleko nowe wynalazki w dziedzinie elektryczności zaprowadzić nas mogą, trudno obliczyć; pewnem jest jednak, że coraz rozmaitsze jej zastosowanie zupełny przewrót w dziedzinie sztuki i przemysłu przyniesie, a rok 1900, jako rok wystawy paryskiej, zapewne odchyli rąbek przyszłego ustroju i zaznaczy, że skończyliśmy wiek pary a rozpoczęli wiek elektryczności.

W. K. (G. H. G.)

Żyjj!

Przedruk uzbrojony.

Raz młodość, raz życie — więc druchu duchowy
Pod topór przeznaczeń nie schylaj swej głowy;
Chwyć silną prawicą twą przyszłość za bary
I pełen zapału, nadziei i wiary,
W twej woli kajdany żelazne ją spętaj,
W cel utkwij twe oczy i zawsze pamiętaj,
Że tylko wśród walki, wśród pracy i trudów,
Dojrzeją i owoce wydaje kwiat cudów.

Nie padaj pod krzyżem zawodów, zwątpienia,
Nie lękaj przyszłości pochmurnej się cienia,
Nie zrażaj się sykiem padalców i węży,
Kto silny, wytrwały, ten — wierz mi — zwycięży!
Gdy spotkasz się w drodze żywota z cierniami,
Nie wdychaj, lecz złam je i zdeptaj stopami.
Gdy trafisz zapory złomami sterczące —
Ramieniem je silnem stoż w głąbie zięjące.
Gdy trafisz na morze — pełnemi pierściami
Przyj najprzód, tocz walkę z falami, prądami,
Daj zawsze do zwycięstw, do celu, do chwały,
Dla świata bądź dumny, dla wroga zuchwały,
Dla braci uczynny, dla biednych ofiarny,
Dla siebie surowy, dokładny i karny,
Czerp życie haustami dopóki nie wróży
Twe barce z młodością wiek gromów i burzy,
Dopóki twe lica zorzami rumiane,
Krasami młodości jak jutrznią oblane,
Dopóki myśl twoja ku niebu ulata,
Nad ziemię, ku słońcu, na krańce hen świata,
Dopóki zapału rozwaga nie zwarzy,
Nie zmrózają zawody, gorączka poparzy,
Dopóki twej wiary skwar zwątpień nie spali,
Wiatr w prochy rozsypie, grom w gruzę rozwali,
Dopóki na śnieżnych twych skrzydłach młodości,
Nie starty puch wiosny, majowej świeżości,
Dopóki dłoń silna, myśl młoda, krew wrząca,
Dopóki twe serce i dusza gorąca...
Pełń chwasty, a czynów na roli sięj ziarna,
Użyznij je znojem; twa praca ofiarna
Stokrotny plon wyda i kiedyś w starości
Na duszę twą padnie promieniem radości.
Nie wdychaj, nie wąprij i strzeż się rozpacz —
Gdy dola złamaną twą wiarę zobaczy,
Uleci promienna z twej woli cmentarza
I padnie zlamany u stopni ołtarza,
Przy którym jak kapłan cud spełnić dar miałeś,
A czarę święconą do rąk wzięść się bałeś.
Dość wczesnie, zawczasie wszech cierpień różaniec
Nalóż tych myśli językom kaganiec
I zamknie do klarki codziennych wydarzeń
Słówki twej duszy, ptaszęta twych marzeń,
A oko, co w słońce spoglądać przywykło,
Łzy zaćmią wylane za szczęściem — co znikło.
Raz życie, raz młodość, raz szczęścia zjawisko,
Więc trzymaj za oba je skrzydła gdy blisko.
Pełnemi haustami czerp z życia krynicy,
Bez miary, rachunku, rabieży, granicy...
Bądź wolny, oddychaj pełnemi pierściami
I życie przebiegaj wielkimi krokami.
Noś w duszy pragnienia, szlachetne porywy,

Znaj ciernia, róż wonnych raniące pokrzywy,
Znaj głogi, znaj laury, znaj kwiaty, znaj ziola,
Miej mądrość szatana, a czystość anioła.
Niech ból cię nie zdziży, niech zawód nie zrazi,
Gdy bóstwo ktoś zepchnie z twych marzeń ołtarzy,
Niech wkoło braterstwo, żnicz zgody rozpalaj,
Do walki stań z fałszem, w proch kłamstwo obalaj.
Nie krępuj zapału rozwagi obrećczą,
Cel życia staw sobie, wzrok wlep weń jak w tęczę,
Niech zimne rachuby twej woli nie płaczą,
Niech raczej ją wiara i siła połączą
W młot czynu, co pierścien zasługi wykuje,
Pochyły dom zwali, gmach nowy zbuduje,
Bądź silny jak Samson, bajeczne centaury,
A sięgniesz po gwiazdy, po wieniec, po laury.
Marzeniem opasuj to ziemskie kolisko,
Dumaniem napełnij twych myśli siedlisko
I pragnij być wielkim, być czczonym, być znanym,
Przez wroga wyklętym, przez braci kochanym.
Gnieć, tratuj, duś, ścinaj, kamienuj, przeklinaj,
Z korzeniem rwij błędy, przesady wyrzynaj,
Daj naprzód odważnie, boś młody, boś silny,
Korzystaj z rad starszych, bądź mężny, bądź pilny
I nie trać nadziei gdy serce zaboli —
Na życia ściernisku dość cierni, kąkoli...
Miej werwę, miej zapał, miej ogień w twej duszy,
Młot woli żelazny trud zegnij i skruszy.
Bądź szczery w przyjaźni, a wierny w miłości,
Ojczyznę twą kochaj nad wszystkie świętości.
Miej serce płomienne, do czynów się rwące,
Jak srebrna iza czyste, jak lawa kipiące
I śmiało patrz w przyszłość, w to wielkie zaniecie,
Gdy wiarą i pracą — myśl, czynem się stanie.
Nie zważaj na przepaść gdy zieje otchłania,
Zmierz okiem głębin i śmiało spojrz na nią,
A przejdiesz bez skazy nad zguby pieczarą
Kosturem się woli podparłszy i wiarą.
Niech serce z ubóstwa, prostoty nie sztydzi.
Niech zapał nie śmieży, niech iza cię nie wstydzi,
Niech jęć cię nie razi: rozpraszą mrok, cienie,
Pochodnią twej wiary nieć jasne płomienie,
Bądź mężny, bądź krzepki, silnemi ramiony
W zapasy idź z trudem po zasług korony.
Ręk nie szczędź do pracy, do walki stań z znojem
I pogardź dla zwycięstw, wygodą, pokojem
I śmiało patrz w oczy zawodom i troskom,
I wiary nie dawaj podszeptom, pogłoskom,
Lecz piętną obłudę, z kłamstwami się ścieraj,
Na brudny fałsz plunij i maskę zeń zdzieraj.
Nie strzelaj z zapłotu, broń prawdy, słuszności,
Ze wzgardą twarz odwróć od zdrady, podłości,
Nie szukaj rozrywki w kałużach, na błotach,
W bydlęcych rozpustach, w zwierzęcych ochotach!
Czerp życie — ustami dopóki twe skrzydła
Nie wpadną w zdradzieckie na dolę twą siła.
Wesoło patrz na świat przez chmurne obłoki,
Żyj, kochaj i szumiej jak górskie potoki,
Uczuciom daj upust w buńczucznej piosence,
Rwij czyny i spletaj w zasługi je wieniec.
Wysoko nieś sztandar szlachetnych dążeń
Z hasłami: braterstwa, równości, wolności.
Żyj, raduj się, wesel dopóki nie zwarzy
Mróz życia, uśmiechów młodości ci w twarzy.
Twa młodość to napój z marzenia, rojenia,
Z zapału, z nadziei i siły dążenia,
To pancerz hartowny, to puklerz, o który
Grot doli się stępi, połamie pazury,
To tęcza bez burzy, to gwiazda poranna,
Twa młodość na puszczy żywota twa manna,
To walka, za którą ci błyszczą zwycięstwa
I darzy pogodnym wieczorem za męztwo.
Nie błąkaj myślami po życia cmentarzu,
Złóż przyszłość niepewną na losów ołtarzu,
Gdy kwiat się rozwinię, gdy jesień go zwarzy,
Gdy troski zmarszczkami wyrują się w twarzy,
Gdy wiek zbieli włosy, gdy zwiedną twe wargi,
Dość czasu na żale, na jęki, na skargi...
Daj śmiało do celu, używaj swobody —
Raz życie, raz młodość, więc żyj pókiś młody!

Ostrów, 20. 10. 97.

Witold Leitgeber.

Zjadacze chleba.

Ogół ludności świata przedstawia $53\frac{3}{10}\%$ pogan, $30\frac{7}{10}\%$ chrześcian, $15\frac{7}{10}\%$ mahometan i $3\frac{1}{10}\%$ żydów. Mimo to są żydzi pierwszą potęgą między narodami, królami kapitału i książętami handlu. Przyłgnąwszy do ziemskości, nie zgłębiając pytania, dlaczego żyją na tym świecie, zamienili niegodnie Mesjasza swych ksiąg świętych na ideę osobistą, materialistyczną, której treścią jest bogactwo i potęga wśród ludzkości.

Jak straszna i grzyna jest ta potęga dla nas, o tem dziś już nikt nie wątpi. Ażeby jednak obecny stan rzeczy w jaskrawych stawić przed oczy barwach, nie możemy odmówić sobie przyjemności przytoczenia artykułu nadesłanego „Pracy“ opisującego stosunki galicyjskie. Artykuł brzmi w streszczeniu jak następuje:

Mają żydki coraz to więcej złota, z którego obdzierają wszystkich, bo jakieś dziwne bielmo zachodzi na oczy nas wszystkich, że nie widzimy, co się istotnie w kolo nas dzieje, że nie wiemy, iż już prawie jesteśmy najemnikami na ojczystym zagonie, już tylko owym wołem roboczym, którego potrzeba i nędza pędzi jak kańczugiem do jarzma, do pracy ciężkiej, z której jednak owoce zbierał będzie — nie kto inny — tylko sprytny, ów międzynarodowy a bezwzględny i zimny żydek.

Doprawdy, że niepojętem jest to zaślepienie nasze, istotnie bezgraniczne; niewytłomaczoną ta, czy lekkomyślność bez końca, czy nierozum, któremu już brak nawet zachowawczego instynktu.

Cóż to za olbrzymie pola najzyskowniejszej a łatwej pracy, co za obfite źródła dochodu, co za nieprzebrane kopalnie złota bez najlżejszej skargi na ustach pozostawiamy żydowi na wszelkich polach naszego narodowego handlu i przemysłu!

Przejdź Czytelniku najpierw po miastach i miasteczkach naszych, przeczytaj te napisy na sklepach i zapisz sobie dobrze w pamięci, kto ci tu sprzedaje wszelkie towary, i komu znosimy te wszystkie grosze zapracowane tak ciężko wśród tego szarego, ciężkiego życia naszego. Wejdź do tych ciasnych, niechlujnych nor smrodliwych, zaburanych sklepami, gdzie najwstrętniej zabrakane bachorzęta rozlegają się po towarach, a zobaczywszy to, dowiesz się, jak niesłychanie mały nic nie znaczący procent znajdziesz kupców z pomiędzy nas samych. A wiesz Czytelniku, ile tu składamy rocznie za same obce towary? Nie mniej ni więcej tylko 100 milionów. A krajowej soli, za ileż przetargujemy w tych sklepach? Mniej więcej za 5 milionów. A mąki? Pewnie za tyle. Tytoniu i cygar? Najmniej za 10 milionów. A za wódkę i wszelkie napoje trzydzieści milionów i t. d. licząc, zbierzemy co najmniej drugie 100 milionów. Razem zaniesliśmy tedy żydkom do tych nor 200 milionów. No wiele, bo wiele, olbrzymio wiele, ale odetchniesz, myśląc, żeśmy już rachunek skończyli.

Gdzie tam skończyli! To las nie do przebycia. Chodź na targi. Czy nie słyszysz, jaki piekielny szwargot stamtąd

dołatuje? Patrz co za sceny się tu rozgrywają. Patrz, jak tu całe chmury chałatowców istną wojnę staczają o wydarcie za marne pieniądze owoców chrześciańskiej pracy. Tu samego zboża kupią znowu blisko za 100 milionów. Prawda, że to liczby przerażające. Widzisz już Czytelniku całą grozę naszego położenia, ale chodźmy do lasów. Czy i tu znowu szwargot chałatowców nie zagłusza pieśni owych leśnych śpiewaków, owych kapelmistrzów natury, tych rzeszy ptaszat leśnych, a zaduch zatłuszczonego chałatu czyż nie przytłumia lasów zapachu i woni, tysięcy kwiatów. Patrz jak pod brutalną siekiera żyda padają dęby, jodły, brzozy, buki i graby, bo żyd niszczy wszystko, jak szarańcza, a piękne polskie góry i lasy zamienia w pustynie.

Chodź Czytelniku dalej! chodź na drogi rządowe, krajowe i powiatowe, chodź nad rzeki brzegi i szutrowiska, chodź na stacye kolejowe i patrz kto uskutecznia prawie wyłącznie wszelkie dostawy. Czy swoi? Gdzie tam. — Wszędzie i wszędzie zawsze ten kupeczacy chałatowiec i tylko on jeden, on jeden wyłącznie i niepodzielnie panuje wszędzie, gdzie się pieniądź przelewa. Gdybyśmy wszystkie te dostawy i cały ów handel ocenili, dojdiesz Czytelniku do przekonania, że w ciągu roku przekupił żyd galicyjski — iście rzecz zatrwająca — całe pięćset milionów.

Najmniejszy procent, z jakim żyd robi, wynosi 10 procent, ale procent ten sięga często gesto wysokości 20, 30, a nawet i wyżej. By jednakże nie obliczać przesadnie, przyjmijmy tylko ową najniższą liczbę 10 procent, a dojdziemy do przekonania, że w ciągu jednego roku przeszło do kieszeni żydowskich owoców krwawej pracy naszej za pięćdziesiąt milionów, a w ciągu lat dziesięciu, które równie szybko miną, przejdzie do kieszeni żyda kapitału chrześciańskiego olbrzymia, zawracająca głowę cyfra pięćset milionów! —

Na Śląsku także lepiej się nie dzieje. Tam nie znajdziesz także ani jednego żyda, któryby się uprawą roli zajmował. Ani jeden żyd nie chwyci się tam rzemiosła, któreby wymagało nateżenia wszystkich sił fizycznych. Żydzi u nas zajmują się tylko takimi interesami, które są złotodajnymi a nie wymagają ciężkiej pracy. Ciężką pracę pozostawiają nam, a plony naszej krwawicy zabierają dla siebie. Żydzi u nas należą też do najzaciętszych wrogów rozwoju ducha narodowego polskiej ludności włościańskiej. Oni to w Cieszynie i Bielsku uchwalali rezolucye przeciw gimnazyum i równouprawnieniu językowemu. Oni też przyczynili się do upadku naszego kandydata w V kurji. Obowiązkiem tedy naszym jest, łączyć się, wzajemnie się wspierać a bądźmy pewni, że z czasem zwycięstwo osiągniemy.

Pot.

Trujące własności potu znane były już od dawna. Słynny francuzki chemik Berthelot wyczytał w jakiejś księdze sta-

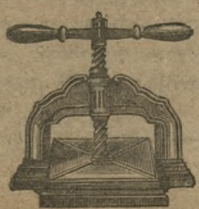
rożytnej przepis na zabijanie ludzi potem końskim. Doświadczenia przedsiębrane w celu przekonania się o jadowitości potu początkowo nie uwieńczyły się dobrymi rezultatami. Dopiero w czasach ostatnich uczeni, poznawszy dokładnie sprawy chemiczne, zachodzące w organizmie ludzkim, doszli do wniosku, że pot powinien w rzeczy samej posiadać własności trujące. W miarę zużywania się składników organizmu ludzkiego, przy pracy w cieple, nagromadzają się produkty trujące, które są dla niego zabójcze. Ilść ich jest tem większa, im więcej mięśnie człowieka pracują. Organizm jednak ludzki urządzone jest tak, że posiada zdolność uwalniania się od tych pierwiastków trujących. Te ostatnie powinny znajdować się w wydzielinach ludzkich, do których pot należy. Doświadczenia ostatnich czasów, oparte na powyższych rozumowaniach, potwierdziły je w zupełności. Wstrzykiwano pot ludzki zupełnie (zdrowego człowieka) psom w ilości 15 centim, sześć, na 1 kilo wagi psa, psy takie zdychały bezwarunkowo po 24 godzinach. Tym sposobem dowiedziono, że przy pracy fizycznej organizm ludzki uwalnia się przez pocenie się od szkodliwych dla siebie pierwiastków, które się w nim nagromadzają skutkiem zużywania się substancji mięśniowej. Dla tego to uczeni lekarze radzą umiarkowaną gimnastykę, jako środek bardzo dla zdrowia sprzyjający. Nadmierna praca fizyczna, przy której pierwiastków trujących w organizmie zbiera się znacznie więcej, niż silne pocenie się jest w stanie wydalic — musi wpływać na zdrowie bardzo ujemnie. To też człowiek czuje wówczas silne zmęczenie, co jest pierwszym objawem zatrucia organizmu przez owe pierwiastki trujące, mające źródło w zużywaniu się substancji mięśniowej.

Ż. O. L.

KRONIKA.

Burze wzniecone przez wiec partyjny ucichły — zaczynało się jednostajnie robić w Poznaniu. Niewątpliwem wprawdzie, że znajdzie się temat do pogadanki, ale nie spodziewałem się, że będzie to temat tak arcysmutny i poważny. Jedno z pism niemieckich doniosło, że w wagonie w drodze do Monachium odebrał sobie życie strzałem z rewolweru młody Polak, dziecko poznańskie, pan Ludwik Romocki, student wszechniocy wrocławskiej. Smutna to wiadomość, ale sto-kroć smutniejsza przyczyna samobójstwa. Prawda, że główną przyczyną był brak odwagi do życia wśród ciężkiej pracy, ale na ostateczne rozpaczliwe postanowienie wpłynęła utrata majątku. Jakim sposobem on go utracił?

Cierpliwości! Zaraz się wszystko wyjaśni. Na ręce „Dz. Pozn.“ przesłał ktoś, który zażywa powszechnego szacunku, notatkę, że niebożczyk odebrał 17 marca rb. 52,000 mk., jako schedę po ojcu, i że znaczna część tej schedy, a szczególnie okazałe jej resztki zostały w rękę karciarzy, którzy młodzieńca lekkomyślnego podawali sobie z rąk do rąk, aż był „zgrany jak skrzypce“.



Skład papieru i materiałów piśmiennych

„ATLAS“ (W. Kostrzewski)

Poznań, Stary Rynek Nr. 48

poleca w wielkim wyborze:

Artykuły biurowe, rysunkowe i szkolne.

Wszelkiego rodzaju druki kupieckie wykonuje pospiesznie i po tanich cenach.



(444)

Na drugi dzień pojawił się w „Dz. Pozn.“ artykuł przeciw karciarzom. „Dz. Pozn.“ położył śmiało rękę na ramię otwartej, na chorobie gangrenującej od dawna nasze społeczeństwo. Uważam to za pierwszy krok tylko ku tępieniu zła, sądzę, że ten krok nie będzie jedynym, mam nadzieję, że wszyscy, którym dobro publiczne leży na sercu, starają się będą o zmniejszenie tej namiętności, bo o całkowitem wytępieniu nikt nawet marzyć nie może.

Wystąpienie „Dz. Pozn.“ jest na czasie, ale nie odniesie skutku, jeżeli wszystkie pisma nasze nie pójdą za danym przykładem i nie wypowiedzą wyroku potępienia na tych, „co z kart żyją lub żyć zamierzają“.

W czasie kiedy komisya kolonizacyjna wykupuje majątki z rąk polskich, w czasie, w którym nieomal co roku musimy zaznaczyć znaczne ubytki ziemi, kwitnie u nas karciarstwo. *Zdaje się, że jakby nie grano przy zielonym stoliku, lecz na grobie matki!*

Już w dawniejszych Kronikach występowałem ostro przeciwko tej wadzie, bo wiem, że u nas niestety żaden stan nie jest wolen od tej wady. Ale nietylko żaden stan, przecież we wszystkich Polski zaborach widzimy to samo.

Kraków jest wzburzony wielkimi nadużyciami, jakich się dopuścił w Towarzystwie wzajemnych ubezpieczeń Czesław Kieszkowski — a kto wejrzy w przyczyny, dla których się dopuścił tych nadużyć wyrodney syn zacnego ojca, przekona się, że życie nad stan, szalona gra na giełdzie i przy zielonym stoliku, sprawiły, że Kieszkowski ściągnął nieślawę na swe nazwisko, stał się przyczyną ruiny nietylko swej rodziny, ale tylu innych, które mu powierzały swe mienie.

Wykrycie nadużyć Kieszkowskiego i samobójstwo młodego Romockiego zdarzyły się nieomal równocześnie. Smutne te zajścia powinny być przestrożą dla nas, zdarzenia te powinny być pobudką dla uspięnego społeczeństwa. Karęmy tych, których namiętność gry opanowała — karęmy póki czas!

Dama pikowa wabi do siebie tych, którzy jej wierzą, sprzeniewierza się im, spycha w przepaść i po ich trupach sięga papierowymi ramionami po nowe ofiary. Zazdrość nie towarzyszy nigdy uwielbieniu, jakim płoną zastępy czcicieli dla ich nieruchomych rysów; w bezprzykładnej zgodzie, w anielskiej harmonii jednoczą się wszyscy w wielki hymn zachwytu, który śpiewa szelestem rzuconych kart i dźwiękiem rozsypanego złota. Ona za to uwielbienie wypala im na licach chorobliwe rumieńce, wysysa z nich spokój, odbiera sumienie i zbrukanych bez skrupułu rzuca w męty uliczne i pcha do samobójstwa lub zbrodni. Tak piszą ze Lwowa, że tam namiętność do gry w karty popchnęła kilku młodzieńców z średnich stanów do zamysłów rozbójniczych i zrobiła z nich rzeczywistych rzezimieszków. Stanęli w tych dniach przed kratkami sądowymi były oficer austriacki, Gomowski i słuchacz weterynaryi, Henryk Wojcikiewicz. Gumowski, chcąc zadowolić swą żądze do kart, począł fałszować weksle, a gdy i to nie starczyło na pokrycie strat, umówił się z Wojcikiewiczem i z słuszarzem Zygmuntem, aby wykonać napad na likwidatora Towarzystwa wzajemnego kredytu, Pawliczkiewicza, o którym wiedzia-

no, że nosi przy sobie znaczniejsze sumy. Zamiar spelził na niczem. Powzięto więc inny. Postanowiono obrabować agencję krakowskiego Tow. ubezpieczeń. Zamiar znowu się nie udał, ale go wykryto i tak z powodu tej fatatnej namiętności do kart staje dwóch ludzi, którzy mogli być pożytecznymi członkami społeczeństwa, przed drogą do domu karnego, z którego wyjdą z piętnem hańby na czole. Straceni!

Przykładów takich setki możnaby przytoczyć, lecz wolę się odwrócić od tych smutnych obrazów, a przypomnieć Szanownym Czytelnikom „Pracy“, że zbliża się pora gwiazdkowa, i że tylko ta dziatwa cieszy się na nią, której rodzice będą mogli ustroić choinkę i umilić podarkiem chwilę „Bożego Narodzenia“. A ileż to dziatwy smutnie spędzi ów wigilijny wieczór, który nam nasz poeta wielkopolski tak pięknie opisuje w swym poemacie „Lucyan“. Aby nastroić Czytelników na ton ofiarności dla biednej dziatwy, przytoczę im ten piękny ustęp:

»Piękna gwiazda wieczorna, co na niebiosklonie
Przez chwilę sama jedna jak pochodnia płonie,
Dzisiaj z pod obłocznej siatki przezroczyściej
Leje blask niezwyčajny, to jasnożłocisty,
To znowu fioletem zabarwiony lekko,
Jak dziewczę, co ócz szafir przymruży powieka.
Krocie błyszczących zrenic ku sobie w tej chwili
Zewsząd widzi zwróconych, a więc jak najmilej
Uśmiecha się i wdzięczy. Jeśli zaś pożyczym
Ocz niewinnych od dziecka, to wzrok tajemniczym
Rozradujem widokiem cudownej niebianki,
Co w lśniącej szacie, w krasne przystrojona wianki
Na złotej nici z gwiazdą spuszczą się ku ziemi,
Dzierżąc w dłoni choinkę z fraszkami ślicznemi«.

Kto więc chce, aby „choinka z fraszkami ślicznemi“ zapłonęła dla biednej dziatwy, niech składa ofiary na ręce pism, które je prześlą komitetowi kolonii feryjnych.

Gercaży.

Z TEATRU.

Oj mężczyźni, mężczyźni — Poskromienie złośnicy.

W ubiegłym tygodniu widzieliśmy na scenie naszej powtórkę komedyi „Rozwiedzmy się, „Gąsienice“ — i „Małkę Szwarcenkopf“ — po raz pierwszy w tym sezonie grano w czwartek komedję 4 aktową K. Zalewskiego: „Oj mężczyźni! mężczyźni! Gdybym nie wiedział, że komedję tę napisał Polak, posadziłbym o nią Francuza, tyle tam w niej i zręczności francuskiej i owej faktury, w której nikt Francuzom jeszcze nie dorównał. Autor dowodzi w swej komedyi, że wiek nie powstrzyma mężczyzny od zapalów miłosnych i że nie uchroni go nawet od głupstw miłosnych. Temat sam jest już obraźliwy — a autor nie szczędził też wcale pieprzu w swej sztuce. Zależać zawsze będzie od gry bohaterki, ile tego pieprzu wyjdzie na jaw i ile on podrażni zmysłowość widza. Gra pani *Jakubowskiej* była powściągliwą — wiele powściągliwszą, niż gra jej znakomitej koleżanki, *Siennickiej*, którą widziałem w przeszłym sezonie w tej samej roli. Ta powściągliwość sprawiła, że sztuka w tym roku wydawała mi się mniej pieprzną; przez to jednak nie chcę powiedzieć, że p. *Jakubowska* przewyższyła p. *Siennicką*. O nie! Pani

Jakubowska była tylko kokietką, a typ stworzony przez autora zatarła. Inni artyści wywiązali się z swych ról bez zarzutu.

Skróciłem moje uwagi o komedyi Zalewskiego, aby rozpiścić się nieco obszerniej o dziele nieśmiertelnego Szekspira, o 5-aktowej komedyi „Poskromienie złośnicy“. Rzecz pisana przed kilku wiekami; zdawaćby się więc mogło, że sztuka nie odpowie naszym wymaganiom. Tymczasem tak nie jest. Pominąwszy kilka zużytych sposobów wywoływania mistyfikacji, jak przebieranie się służącego za pana — sztuka robi wrażenie świeżości i współczesności. Dlaczego? Bo wielki mistrz dramaturgii nie odwzorował w tej komedyi ani żadnej tendencji, ani żadnego prądu, właściwych wiekowi, w którym żył, lecz wziął sobie za przedmiot stosunek mężczyzny do kobiety w stadle małżeńskim. Szekspir chciał pokazać, że wbrew uroszczeniom kobiety panem domu ma być zawsze mężczyzna. Dla udowodnienia tego zadania używa następnej fabuły i akcji scenicznej: Bogaty szlachcic z Padwy Babtysta (pan *Bednarczyk*) ma dwie córki. Typ łagodnej kobiety przedstawia nam młodsza Bianka, p. *Jakubowska*, materyał na „heroda babę“ tkwi w starszej Katarzynie (p. Rylska). Babtysta nie chce wydać młodszej przed starszą; niestety do młodszej jest kilku konkurentów Lucentio (p. Adwentowicz), Gremio (p. *Jakubowski*) i Hortensio (p. Knapczyński) — o rękę starszej nikt się nie ubiega. Wreszcie odważa się wzięść za żonę „złośnicę“, która daje dowody swej złości w czasie gry, Petrucchio (p. Ryger), szlachcic z Werony. Sprawa dla Petrucchia wcale nie łatwa, bo piękna Katarzyna pokazuje mu pazurki nie na żarty, ale konsekwencya, energia i silna wola łamią upór złośnicy, która już ułagodzona przybywa w 5-tym akcie do domu swego ojca. Nikt nie chce wierzyć, aby złośnica Katarzyna stała się uległą żoną, ale Petrucchio daje przekonujące na to dowody. Natomiast wydaje się, że ani łagodna Bianka, która była wyszła za Lucentia, ani „Wdowa“ (pani Czerniakowa), żona Hortensia nie są ślepo swym mężom posłuszne. Tem końcowem przeciwstawieniem chciał Szekspir udowodnić, że mężczyzna bez energii zawsze będzie pantoflem, czy żona będzie złą lub łagodną, a mężczyzna z silną wolą, zawsze będzie panem domu.

Komedya jest urozmaicona wesolemi epizodami, w których dużo wrzawy i rubasznego humoru, do owych czasów zupełnie zastosowanego, rozweselają mianoście całość typy służących, których Szekspir lubi przedstawiać jako filutów, takimi filutami byli w myśl Szekspira i pan Nynkowski i Swaryczewski — na szczególniejszą zaś pochwałę zasługuje gra pana Czerniaka w roli Grumia. Artystycznie doskonałą kreacją był Petrucchio p. Rygera, panna Rylska za mało miała temperamentu, aby dobrze się przedstawić w roli złośnicy, ale całkiem chybił odegrywanie powierzonej roli nie było. Inni artyści wywiązali się z zadania bez zarzutu — dla tego też całość wypadła bardzo udanie.

Teatr był w sobotę i w niedzielę zupełny.

Balet latający wywołał wielki podziw i przeciągłe oklaski.

Protazy.

PTASZYNA

Gdybym ptaszkiem była
I skrzydełka miała,
W niebo bym się wzbiła,
Do ciebie leciała.

Leciała za góry
Hen nad sine szczyty,
Wzbiłabym się w chmury
Pod niebios błękity.

W słońce bym się wzbiła,
W obłokach kąpała,
Do ciebie dążyła,
Piosenki śpiewała.

Pod okienkiem twojem
Gniazdko bym uwiła
I o szczęściu mojem
Piosenkę dzwoniła.

Nucilałbym tkliwie
Jak w maju słowiki,
A rzewnie, piściwicie
Jak polne strumyki.

Jak listki brzeziny,
Gdy drzące wiatr kłoni,
Jak serce dzieweczyny,
Gdy tęskniąc lży roni.

Wtenczas choćby twoje
Serce było z lodu,
Odezulbyś ty moje
Piosenki z ogrodu.

Wpuściłbyś ptaszynę,
Otworzył ramiona,
Uściskał dziewczynę,
Przytulił do łona.

Nigdy bym już wtedy
Ciebie nie rzuciła,
Wśród szczęścia, czy biedy
Przy twym boku żyła.

Lubczyzna, 17. 10. 97. Witołd Leitgeber.

Rozmaitości.

Jeszcze Polska nie zginęła. Według obliczeń p. Fr. Olszewskiego, dokonanych w dłuższej pracy, drukowanych w »Kuryerze Warszawskim« ludność polska w Królestwie Polskiem według spisu z roku bieżącego wynosi 6,951.033 dusz i stanowi 73 procent ogółu ludności (żydzi zaliczają się przeważnie do Moskali, więc nie mieszczą się w tej liczbie). W »kraju zachodnim« czyli w 9 guberniach ruskich i litewskich naliczono urzędowo w br. 2,100.796 Polaków czyli blisko 11 procent ogółu ludności. Razem w krajach polskich pod zaborem rosyjskim urzędowa liczba Polaków według spisu z br. wynosi 9.051.829 głów. Galicya i Śląsk austriacki liczą w br. w przybliżeniu 3.400.000 ludności polskiej, a na ziemiach polskich w zabiorze pruskim jest 3.150.000 Polaków, czyli na ziemiach polskich żyje obecnie 15.600.000 Polaków. W wykazie tym brak Polaków poza obszarem ziem polskich przebywających, których jedna Ameryka liczy ponad 2.000.000. Razem jest nas wszystkich ponad 18 milionów! Jest nas zatem półtrzecia razy więcej niż Rumunów, Skandynawów i Czechów, półczwarta razy więcej niż Węgrów a 5 razy tylu co Greków. Poważna ta liczba musi wzbudzić wiarę w przyszłość naszą nawet u niewiernych.

Polacy w New-Yorku. Z korespondencji wychodzącej w Toledo »Ameryka« wyjmujemy

następujące interesujące cyfry: »Cały New-York liczy dzisiaj blisko dwa miliony ludności, ale ile w nim rzeczywiście znajduje się Polaków, nikt na pewno nie wie; jedni twierdzą, że kolonia nasza liczy od 15—25,000 dusz, gdy drudzy znów cyfrę tę podwyższają. Wiadomo, że Chicago ma 100,000 Polaków, Filadelfia 30,000 a New-York — tego chyba nikt nie wie stanowczo. Są jednak źródła takie urzędowe statystyczne, a może nie wszystkim przystępne, według których możnaby raz przecie ustalić rzeczywistą cyfrę naszej ludności. Według spisu, sporządzonego w r. 1890, New-York powinien posiadać tylko 6,759 Polaków, a Brooklyn 1,887, co wynosi razem zaledwie 8,646 dusz, gdy tymczasem wiadomo, że ludność polska tych dwóch miast sąsiadujących przewyższa cyfrę 45,000. Zkąd taka wielka uderzająca różnica w statystyce? Każda inna narodowość wie, ile jej jest w mieście, gdy my tylko odgadujemy ciągle i to jeszcze znajdujemy się w wielkiem rozdrożu kilkunasu tysięcy różnicy. Przyczyną takiej wątpliwości jest poprostu nasza wstydlivość i nieprzyznawanie się do swej narodowości podczas urzędowych spisów ludności, dokonywanych co lat 10. Gdyby każdy Polak pochodzący z Królestwa Polskiego, Ro-yi, Niemiec lub Austrii, odpowiedział urzędnikowi, że jest Polakiem, wtenczas istotnie liczba Polaków inaczejby się przedstawiała. Według obliczeń dotychczas nieopublikowanych, polska ludność w New Yorku i w Brooklynie tak się przedstawia: z Galicyi 10,500 z Królestwa Polskiego 15,700, z Wielkiego Księstwa Poznańskiego 16,250, czyli razem 42,450 dusz. Sam obecny New-York z tego ma: z Galicyi 6,350, z Królestwa Polskiego 10,000 i z Poznańskiego 9,675 czyli razem 26,025 dusz. Cała różnica w statystyce urzędowej widocznie spoczywa na tej naturalnej omyłce, że przypisuje New Yorkowi 48,790 Rosyan, gdy istotnie bardzo wielka liczba schodzi na Polaków z Królestwa i z Kraju Zachodniego, którzy za kraj swój stały podali Rosyę. Naturalnie, że ludność żydowska nie wliczona do tych cyfr, a żydów Rosya dostarcza najwięcej.

Cesarz Wilhelm II i cyklistki. Jakkolwiek cesarz Wilhelm jest zwolennikiem wszelkich sportów, to jakoś wyjątkowo nie jest zbyt przyjaźnie dla cyklizmu usposobionym. Sam na rowerze nie jeździ i nie lubi, aby osoby, należące do dworu, uprawiały ten sport. Wyjątkowo tylko, zdaje się, iż z polecenia lekarza, pozwala jeździć synom. Nie lubi cesarz również, jak się pokazało, być eskortowanym przez cyklistów. Z polecenia cesarza, jak donosił *Berliner Lokal-Anzeiger*, wzbrowiona została cyklizmowi jazda w lesie w okolicach zamku myśliwskiego Rominten, gdzie cesarz świeżo bawił. Na wydanie tego rozporządzenia to wpłynęło podobno, że gdy pewnego dnia cesarz jechał powozem, dwóch cyklistów, spotkawszy go, wyprzedziło i jechało przed powozem. Gdy powóz wjeżdżał do lasu, a cyklistki nie przestawali mu towarzyszyć, cesarz przywołał konnego żandarma i polecił honorową eskortę usunąć.

Złote myśli.

Szlachetnie jest wyrosnąć z własnej siły, szlachetniej z własnej — słabości.

Nie należy sądzić człowieka po wielkości jego przymiotów, ale po użytku, jaki z nich robi.

Im jesteś lżejszy — tem łatwiej i szybciej niosą cię fale życia.

Wiadomości.

Zaproszenie do przedpłaty na listopad i grudzień.

Kto
dotąd jeszcze nie zaabonował
„PRACY“

niech to uczyni bezzwłocznie, a otrzyma jeszcze wszystkie numera od początku bieżącego kwartału bezpłatnie dopóki zapas starczy, jeżeli nam nadesłanie w liście frankowanym znaczek pocztowy dziesięciofenygowy na portoryum.

„Pracę“

która zapisana jest w cenniku gazet pod rubryką (Abtheilung II. t. poln. Nr. 86) najwygodniej zapisać na pocztę.

Przedpłata na listopad i grudzień wynosi

tylko 67 fen.

Przedpłatę tę zobowiązane są przyjąć wszystkie urzędy pocztowe, na co baczną zwracamy uwagę Szanownym Czytelnikom.

W ostatnim numerze 104 „Pracy“ rozpoczęliśmy druk bardzo interesującej, nadzwyczaj sensacyjnej i bardzo ciekawej oryginalnej powieści p. t.

Dwie siostry.

Rozgrywa się tam do głębi wzruszający dramat, a los osób działających może żywo zająć każdego czytelnika.

Każdy nowo przybyły abonent otrzyma początek tej powieści bezpłatnie.

Życzliwych nam Czytelników upraszamy o łaskawe poparcie naszego pisma w gronie krewnych, przyjaciół i znajomych, zachęcając ich do liczonej przedpłaty w interesie wspólnej sprawy.

Każdy, kto tylko zażąda, otrzyma bezpłatnie i franko kilka numerów „Pracy“ na okaz, lub też celem rozdania takowych pomiędzy krewnych, przyjaciół i znajomych.

Dobra wiadomość. Dobra rycerskie Golina, Stefanowo i Golinka w powiecie jarocińskim, prastara siedziba Zakrzewskich, a od nieomal 20 lat własność p. rotmistrza Briesen, 4100 morg, przeszły za pośrednictwem renomowanej firmy »Drwęski i Langner« po upływie prawie ćwierćwieku znowu w ręce polskie, t. j. na wspólną własność pp. Skrzydlewskiego z Ocieszyna i Józefa Moszczeńskiego z Jeziórek.

Cena kupna wynosi jeden milion marek. Golina — tuż przy cukrowni witaszyckiej — z kościołem, szkołą, dworcem, pocztą i szosą w miejscu, z wielką parową gorzelnią na 1200 beczek kontingentu, z pięknymi budynkami, silnym i bardzo wartościowym inwentarzem, z własną kolejką, własnym urządzeniem i oświetleniem elektrycznym i t. d., — z wdzięczną glebą i w starej wysokiej kulturze — jest bezwarunkowo jednym z najlepszych majątków tamtejszej okolicy.

Wspólnym nabywcom „Szczęść Boże!“

W tej sprawie otrzymujemy następujący komunikat z prośbą o umieszczenie:

»Kuryer Poznański« usłyszawszy coś swego czasu o powyższej a jeszcze w biegu będącej transakcji, rozgłosił przedwcześnie sprzedaż

Goliny, podając przy tem stósunkowo śmiesznie niską cenę bo 500,000 marek, pomimo, że sama taksa landszaftowa znacznie więcej wynosi; tę mylną i przedczesną notatkę »Kuryera« pochwyłymi natychmiast pisma niemieckie, reszty zaś dokonali sąsiedzi Niemcy i — interes na razie się rozbił.

Upoważniono więc firmę »Drwęski i Langner« do sprostowania nieszczonej notatki »Kuryera«, które to sprostowanie też z wyjątkiem »Kuryera« zamieściły wszystkie pisma polskie.

Dopiero po odnośnem odwołaniu i upływie niejakięgo czasu, gdy już wszystko ucichło, nawiązano za pomocą firmy »Drwęski i Langner« ponownie pertraktacje, które też uwiecznione zostały pomyślnym skutkiem i Golina wróciła szczęśliwie w ręce polskie.

Po dokonaniem i teraz ogłoszonym fakcie sprzedaży, »Kuryer Poznański« w obelżywych i ubliżających słowach, zadał kłam firmie »Drwęskiego i Langnera«, konstatując zarazem złośliwie, że pierwsza notatka »Kuryera« była jednakowoż prawdziwą, że niektóre pisma, poprawiając »Kuryera Poznańskiego«, dały się łatwo wiernie wywieść w pole, a dalej, że firma »Drwęskiego i Langnera« bez upoważnienia i tylko w tym celu spowodowała w niektórych pismach odwołanie pierwotnej notatki »Kuryera«, ażeby na Polakach wybić jeszcze wyższą cenę itd.

Wobec tej niesumiennej a krzywdzącej i ponownie mylnej notatki »Kuryera« zaprotestowali w słusznym oburzeniu sami nabywcy Goliny t. j. pp. Skrzydlewski z Ocieszyna i Moszczeński z Jeziorka i zawezwali redakcję »Kuryera Poznańskiego« na mocy prawa prasowego pod dniem 8 bm. do następnego sprostowania:

»Kuryer Poznański« zamieścił w chwili, gdy kupno Goliny przez nas od p. rotmistrza Briesena jeszcze nie było dokonane, przedczesną a mylną wzmiankę, iż dobra te przeszły w nasze ręce i to za śmieszny w stosunku do istotnej wartości cenę 500,000 marek. Zapisek ten, który był prostym wymysłem, spowodował obustronne zniechęcenie i rozbięcie interesu. Dopiero staraniom usilnym firmy »Drwęski i Langner« udało się po tej ariyniefortunnej notatce układy ponownie nawiązać i kupno przewieść do pomyślnego skutku dla nas. przyczem jednakowoż firma ta — jakto złośliwie i niesłusznie krzywdząco w numerze niedzielnym »Kuryera« z dnia 7-go b. m. zaznaczono, żadnych większych nad przysługujące jej honorarium zysków nie wybiła i wybić nie pożądała, ale przeciwnie, nawet z własnym uszczerbkiem dołożyła wszelkich starań, ażeby majątek ten przeszedł w ręce nasze pod możliwie korzystnymi warunkami.

Co do nas ubolewanie swoje wyrazić musimy, iż »Kuryer Poznański« przez niestósowne i krzywdzące twierdzenie oraz mylne, bo przedczesne ogłoszenie kupna interes nam utrudnił.

Wyraźnie też zaznaczyć musimy, iż firma »Drwęski i Langner« *zupełnie zgodnie z prawdą na podstawie otrzymanego upoważnienia* zaprzeczyła owej wzmiance w »Kuryerze«, albowiem interes cały był istotnie w stanie rozbięcia, a dotychczasowy dziedzic Goliny był już zdecydowany jej nie sprzedawać.

Powyższe sprostowanie otrzymała i »Praca« od pp. Skrzydlewski i Moszczeńskiego, obecných dziedziców Goliny, które też *dostownie* podajemy. »Kuryer Poznański« zaś zmodyfikował je i umieścił pod dniem 9-go b. m. w następującem brzmieniu:

»W obec naszej notatki, umieszczonej w niedzielnym numerze »Kuryera Pozn.« zaznaczamy niniejszem na życzenie pp. Skrzydlewski i Moszczeńskiego, że Centralna Agencja dóbr we firmie Drwęski i Langner na

podstawie otrzymanego upoważnienia i zupełnie zgodnie z prawdą zaprzeczyła zawczesnej wiadomości, jaką swego czasu podał »Kuryer« o kupnie Goliny.

Tak samo stwierdzić winniśmy, że firma »Drwęskiego i Langnera« nawet z poniesieniem ofiar ze swej strony, przyczyniła się do tego, że majątek ten dostał się znowu w ręce polskie.

(»Kuryer Poznański« został w tym wypadku widocznie rozmyślnie źle poinformowany, nad czem szczerze ubolewamy.)

I my ubolewamy nad tem, iż redakcja »Kuryera Poznańskiego«, znajdującą się pod wytrawnem kierownictwem szanowanego powszechnie p. dra Kanteckiego, stała się ofiarą niedojrzałości, beztaktu i dziecinnej złośliwości niedowarzonego jeszcze współpracownika.

Z teatru. W sobotę dn. 13 b. m. po raz pierwszy sztuka w 3 aktach z epilogiem »Kula u nogi«, Szutkiewicza, zmarłego już autora tak sympatycznie u nas w zeszłym sezonie przyjętej sztuki, »Popychadło«.

W niedzielę, dn. 14 b. m. po raz drugi »Kula u nogi«.

Nie wątpimy, że sztuka ta, którą wszędzie mianowicie w Warszawie, Lwowie i Krakowie, grano z wielkiem powodzeniem, i w Poznaniu ściągnie do teatru liczną publiczność.

W Poniedziałek, dn. 15 b. m. »Wieczór humorystyczny« monologiczny A. Zawadzkiego, który jest niezrównanym w odtwarzaniu różnorodnych typów mężczyzn i kobiet.

P. Zawadzki występował już wielokrotnie w Warszawie, Petersburgu, Moskwie, Odesie z ogromnem powodzeniem. Spodziewać się należy, że zwolennicy zdrowego śmiechu, do jakiego nieustannie pobudza słynny monologista, zbiorą się bardzo licznie w teatrze.

Zwracamy baczność uwagę Szanownych Czytelników na inserat p. W. Niedbalskiego z Inowrocławia. Handel p. N. jest zaopatrzony w towar pierwszorzędny, doborowy, ceny są niskie, a usługa skora i rzetelna. To też p. N. od czasu objęcia interesu t. j. od lat 10-ciu cieszy się coraz większem zaufaniem publiczności i liczną klientelą miejską i wiejską, na co zasługuje pod każdym względem.

Zwracamy uwagę Szanownych Czytelników na inserat p. R. Bzyła w Krobi, posiadającego w tem mieście największy polski skład towarów łokciowych, płótna, bielizny, gotowej garderoby i t. p. oraz towarów krótkich, galanteryjnych i kolonialnych jak również przyborów myśliwskich i maszyn do szycia. Wybór towarów wielki, ceny umiarkowane, niskie, a usługa skora i rzetelna. Handel ten rodaka polecamy łaskawym względem Szanownej Publiczności Krobi i okolicy.

Wilda. Posiadłość pana Baierleina przy szosie prowadzącej do Dębca, a obejmującą 19 mórg, nabył za 40,000 marek kupiec tutejszy Bruno Hermann.

Trzemeszno. Właściciel kamienicy David sprzedał swą kamienicę przy Zielonym Ryńku rzeźnikowi p. Miśkiewiczowi za 12,000 m.

Wągrowiec. Posiadłość należąca do p. Średnickiego nabyła za 35 tysięcy marek firma T. Bischofswerder.

Września. Handel drobiem, który w tym roku przybrał niesłychane rozmiary, niedługo ustanie. Szczególnie wiele gęsi wzięziono z Królestwa Polskiego. Średnio licząc, przewieziono przez nasze miasto w ostatnich trzech miesiącach co najmniej 400,000 gęsi, a wszystkie wysyłano do wielkich miast w Niemczech, gdzie je dobrze spieniężano. Tem się też tłumaczy, że drób w okolicach nadgranicznych jest drogi, gdyż handlarze niechętnie go sprzedają, wiedząc, iż w głębi Niemiec wyższe osiągną ceny.

Ostrów. Bank parcelacyjny w Poznaniu nabył Ferdynandowo pod Kobylgóra.

Rogoźno. Kamienicę przy ulicy Kotlarskiej, należącą do wdowy Pasch, kupił w drodze dowolnej sprzedaży za 3400 marek stolarz p. Franciszek Chrzanowski.

Pleszew. Wybory uzupełniające do rady miejskiej wypadły tu dla Polaków niepomyślnie. Tylko w trzeciej klasie wybrany został Polak, p. dr. Kubacki.

Ostrzeszów. W wyborach do rady miejskiej zwyciężyli Polacy w trzeciej i pierwszej klasie, wybierając p. p. Fabrowskiego i Rindfleisch.

Buk. Dnia 18 i 19 bm. odbędą się tutaj wybory do reprezentacji miejskiej. W 1 klasie występują kupcy Röstel i Basch, w 2 klasie kupcy Degórski i Ellson, w 3 klasie restaurator p. Panieński.

Wronki. Tutejsza fabryka syropu i cukru z maczki (filia Banku Kwilecki. Potocki i Sp. w Poznaniu) zaprowadza u siebie oświetlenie elektryczne, z czego skorzysta także miasto, na mocy bowiem układu z fabryką, zaprowadzone zostanie elektryczne oświetlenie ulic.

Międzychód. Na ostatniem posiedzeniu tutejszego sejmiku powiatowego uchwalono u władz odnośnych poczynić odpowiednie kroki o pobudowanie małej kolejki z Szamotuł przez Sierakowo do Międzychodu.

Golub (Prusy Zachodnie). Władze udzieliły pozwolenia na budowę kolei drugorzędnej z Chełmży przez Golub do Brodnicy. Powiat brodnicki starał się o tór kolejowy z Chełmży prosto do Brodnicy z odnogą do Golubi. Ministerstwo nie przychyliło się jednak do tej prośby.

Obrona prawna.

Ważne dla kupców i kupujących. Zdarza się, że w oknach wystawnych wywieszają kupcy różne przedmioty, do których przymocowana jest karteczka wskazująca cenę tegoż przedmiotu. Dla zwabienia odbiorców trafia się nieraz, że kupcy podają na tych przedmiotach ceny nader niskie, a gdy się tego żąda za wskazaną cenę, to chwytają się wybiegów, i sprzedają towar inny, gorszy. Kupującemu przysługuje atoli *prawo żądania* tego przedmiotu, choćby go kupiec miał z okna wyjąć. W ten sposób sparzył się pewien kupiec w Berlinie, handlujący kapelusami dla pań. W oknie wystawnym wywiesił kapelusz damski za 2 marki. Gdy przechodząca pani chciała go kupić, chciał kupiec się wykreścić, lecz pani wezwała pomocy urzędu pol. a kupiec chcąc nie chcąc musiał sprzedać za 2 marki kapelusz, który w istocie wart był o wiele więcej.

Ważne dla kupców, podających reklamacje w sprawach podatkowych. Według nowego rozporządzenia ministryalnego zobowiązani są kupcy przedłożyć władzom na żądanie swoje książki kupieckie, celem zaświadczenia w procesach podatkowych zwłaszcza zaś przy reklamacjach. Atoli kupiec nie ma obowiązku składać i zostawiać książek w urzędzie. Według orzeczenia najwyższego sądu administracyjnego z 22 lutego 1894 r. wystarcza przedłożenie wyciągu z ksiąg kupieckich, zawierającego spis dochodu i rozchodu. Jeśli zatem nie ma powodu do powątpiewania, czy wyciąg z ksiąg kupieckich jest wiarogodny, nateczas urzędy mają powstrzymać się od żądania ksiąg kupieckich.

Bady i wskazówki.

Masa do gaszenia pożarów. P. E. Sygiercz, naczelnik straży ochotniczej podhajeckiej, podaje w »Przewodniku pożarnym« następujący przepis masy, ułatwiającej szybkie tłumienie pożarów:

700 gramów dwuwęglanu sody mięsza się dokładnie z 300 gramami białego siarkanu amonowego, miarko sproszkowanego i to stanowi dawkę na 50 litrów wody. Jeżeli zaś okazuje się potrzeba zwiększyć siłę gaszenia, w takim razie bierze się 3 kl. powyższej mieszaniny na 100 litrów wody.

Na dokładnym odważeniu, oraz zmieszaniu materiałów polega ich skuteczność działania. Preparat powinien być zamknięty albo w puszcze blaszanej, albo w drewnianej skrzyneczce. Przechowywany w ten sposób, trwa się latami bez jakichkolwiek zmian chemicznych.

Kit do beczek. Chcąc zapobiedz przeciekaniu beczek, można użyć następującego kitu do zacierania szczelin. Na 30 gramów smalcu, bierze się 10 gramów soli kuchennej, 10 gramów wosku i 6 gr. parafiny — wszystko to roztopia się na słabym ogniu, poczem wśród ciągłego mieszania, wsypuje się do naczynia 25 gramów cienko przesianego popiołu. Otrzymuje się w ten sposób kit, którym się na gorąco wszelkie szczeliny w beczkach z dobrym skutkiem kituje.

Apteczka domowa.

Lekarstwo pewne na kaszel. Weź liście pokrajane od świeżej rośliny doniczkowej, zwanej morską cebulą. Gotuj we wodzie, dodawszy zwyczajnego lodowatego cukru. Gdy gęstnieć zaczyna, przecedź, lub wyjąć liście cebuli morskiej, zład w stoik lub filiżankę i pożyłeczce zażywać.

Deczy najporczywsze kaszle u dzieci i dorosłych.

Informacje,

dotyczące handlu, przemysłu i rolnictwa.

Firmy.

Do rejestru firm sądu okręgowego we Wrześni wpisano firmę »J. Wierzbicki«. Właścicielem firmy jest kupiec, p. Józef Wierzbicki we Wrześni.

Konkursy.

Zakończono konkurs: 1) Nad majątkiem pani Marii Mondré, z domu Surzyńskiej z Poznania w firmie »M. Mondré«, 2) nad majątkiem kupca, p. Juliana Roszykiewicza w Jeźcach.

Otworzono konkurs: 1) nad majątkiem mistrza krawieckiego, p. Jana Kaczmarka w Kościanie; zawiadawcą masy konkursowej jest kupiec, p. Emil Kroh w Kościanie. 2) Nad majątkiem mistrza szewskiego, pana Antoniego Szafranka w Śmiglu; zawiadawcą masy konkursowej jest kupiec, p. Licht ze Śmigła. 3) Nad majątkiem handlarza, p. Józefa Nalewajskiego w Łobżenicy; zawiadawcą masy konkursowej jest kupiec, p. Behr z Łobżenicy. 4) Nad majątkiem mistrza rzeźnickiego, p. Rudolpha w Toruniu. 5) Nad majątkiem chemicznej fabryki M. Szutnika w Pile; zawiadawcą masy konkursowej jest radzca miejski, p. Wichert w Pile.

Licytacje.

Z boru majoratu Obrzyckiego sprzedane będą dnia 15 listopada z rana o godzinie 10 w Obrzycku w lokalu p. Zbonikowskiego w re-

wirach Zielonogóra, Pietrowo, Chraplewo i Koźmin: 482 sztuki drzewa sosnowego na deski i 1021 budulcowego na pniu w 8 udziałach. Drzewa te mają od 90 do 130 lat.

Wyłączenie wspólności majątku i dorobku.

Cukiernik, p. Franciszek Szukała z Obornik i panna Helena Kubicka z Grodziska. — Cukiernik, p. Wincenty Ruszczyński z Krerowa w powiecie średzkim i panna Franciszka Sawińska z Wągrówca. — Zegarmistrz, p. Mikołaj Danecki i panna Maryanna Maciejewska, oboje z Miejskiej Górki. — Młynarz, p. Jan Krajewski z Grodziska i panna Józefa Gajewicz z Wielichowa. — Rolnik, p. Antoni Jarocki z Rombina i panna Ludwika Maciejewska z Inowrocławia. — Kupiec, p. Janusz Broekere z Kcyni i panna Stanisława Majewska z Bydgoszczy. — Kupiec, p. Piotr Szulc z Koronowa i panna Marta Kowalska z Sępólna w Prusach Zachodnich.

Przemysł.

Dla panów architektów, stolarzy i t. p.

Konserwacja drzewa. »Engineering« wskazuje nową metodę konserwacji drzewa. Polega ona na tem, że w nafcie rozpuszczają się oleje i ciężkie substancje woskowe, pozostające przy destylacji oleju skalnego, a roztwór ten wtłacza się w drzewo świeżo ścięte w sposób taki, jak to się czyni z kreozotem. Drzewo ogrzewa się następnie, przyczem nafta się ulatnia, substancje zaś woskowe pozostają w drzewie i czynią je nieprzenikliwym.

Dla pp. szewców.

W szewstwie wprowadzona została jako nowość, przewyższająca dotychczasowe Goodyear-owskie maszyny amerykańskie, maszyna Bertranda do szycia podwójnym stebnem. Już na wystawie w Chicago zwracała ona uwagę na siebie i otrzymała pierwszą nagrodę, a od tego czasu została różnemi drobnymi ulepszeniami wydoskonaloną. Wechodzi ona na miejsce dotychczasowych maszyn łańcuszkowych i wykonuje szew podwójny, zupełnie podobny do ręcznego.

Na stałym lądzie sprzedaje maszyny dwustebnowe Bertranda niemiecko-amerykańskie Towarzystwo (*Deutsch-amerikanische Maschinenengesellschaft*) we Frankfurcie nad Menem.

Dla pp. zecerów.

Zatrucie ołowiem przy zawodowej pracy zecerów nie jest tak łatwym i strasznym jakto niektórzy z higienistów przemysłowych twierdzą. Staraniem rządowej drukarni w Berlinie czyniono ostatnimi czasy w kilku oficynach drukarskich, przy pomocy osobnego przyrządu, doświadczenia, co do zawartości pyłu ołowianego w osadzie na narzędziach i kurzu w powietrzu w zecerni. Wykazano, że średnio, w ciągu 300 dni roboczych w roku, zecer wdycha 1 86 gr. pyłu, z zawartością 3 dziesiątych grama ołowiu, tak, że przez 33 $\frac{1}{3}$ lat wprowadziłby do ustroju jeden gram ołowiu. To pono nie wystarczy, aby człowieka, zrzęstą normalnego i zdrowego nabawić choroby ołowianej.

Dla pp. krawców.

Kreda dla przykrawaczy. Jeden z warszawskich majstrów krawieckich wynalazł specjalny gatunek mydła, zastępującego kredę, dotychczas używaną przez przykrawaczy. Mydło jego pomysłu pozostawia ślady ciemne na materiałach jasnych, jasne zaś na materiałach ciemnych. Mydło to, wyrabiane już w większych ilościach przez wynalazcę, ma, jak zapewnia *Gazeta rzemieślnicza*, znaczny odbyt w Królestwie polskim i w Rosyi. Byłoby pożądanę, ażeby po-

dano bliżej nazwisko i adres wynalazcy, produkującego tę praktyczną kredę krawiecką.

Ptactwo.

Chów indyków. W rzeczywistości nie jest chowanie indyków trudniejszym od innego drobinu, jeżeli są odpowiednie do tego warunki. Najważniejsze są: 1) Zdrowe i wykształcone okazy, 2) odpowiednie mieszanie wieku, 3) stosowne pożywienie i ilość tegoż, 4) dobry dozór. Największym błędem jest chowanie nie zupełnie rozwiniętych okazów. Indycki powinien mieć dwa lata a indory trzy lub cztery. Do wylęgania trzeba wybierać najsilniejsze i najzdrowsze ptaki, paść i uważać na nie dobrze. Od dwuletnich brać jaja do nasadzenia; indycek dłużej jak lat cztery nie trzymać; po dwóch latach nie znoszą już dużo jaj, małe od nich są za to silne. Ładnego indora, chociażby był stary, nie usuwać, chyba, że słaby i chory; im starszy tym lepszy. Żywienie wymaga wiele dozoru i uwagi. Indyckom znoszącym jaja, daje się pszenicę, rozmięczony owies, wieczorem trochę kukurydzy, rano jako pierwszy pokarm, odpadki z kuchni, gotowane łupiny od kartofli, marchew, ospę, mąkę pastewną, mąkę owsianą itd. Indyki potrzebują do pożywienia dużo robaków, np. białych mrówek, pondrowia, jedzą także potłuczone kości, skorupy od ostryg potłuczone, wszystko to im nadzwyczaj służy. Powinny również dostawać co dzień lub co drugi posiekaną cebulę, która im służy często za lekarstwo w razie choroby, dlatego powinna cebula lub sok z niej być do jedzenia domieszywane. W razie choroby lub zimnego powietrza, można dać młodym indykom po jednym ziarnku pieprzu co najwięcej umaczanego w oliwie, bo ich organizm nie znosi tak ostrych środków.

Sprawozdania handlowe.

Wełna.

Berlin. 11 listopada. W skutek pomyślnego przebiegu interesów wełną na aukcyi londyńskiej, tak pod względem frekwencji nabywców, jako też osiągniętych cen, które się podniosły o 5 do 10 procent w porównaniu z aukcyą lipcową, tendencya rynku berlińskiego wzmocniła się w ubiegłym miesiącu. Zapotrzebowanie wełny, zwłaszcza czesankowej i fabrycznej, było znacznie i obroty wełną naturalnie mytą wogóle były ogromne; brudną wełną interes był mniejszy, niż zwykle, z powodu szczupłych zapasów tego produktu na tutejszym rynku. Dowozy wełny mytej wynosiły przez październik przeszło 2000 centnarów. W interesie wełną zamorską nie zaszła w ubiegłym miesiącu żadna zmiana. Zabrano z tutejszych składów około 2,500 bel, w jednej połowie przyładkowej, a w drugiej Buenos Aires i australijskiej, po cenach stałych i mocnych.

Zboże na rynkach międzynarodowych. W ciągu okresu sprawozdawczego warunki międzynarodowego handlu zbożowego nie wielkim uległy zmianom; ceny utrzymały się mniej więcej na tym samym poziomie, obrót w handlu niewielki, tendencya wszakże dosyć mocna.

W Stanach Zjednoczonych dowozy farmerów zmniejszyły się, a to skutkiem tego, iż rolnicy zajęci są robotami w polu, zwłaszcza zwożeniem zbiorów kukurydzy. Zapasy skontrolowane podniosły się o 2,045,000 busz. i wynosiły 26,974,000 buszli. Ceny polepszyły się nieco. W Anglii cena przeciętna na 196 rynkach skontrolowanych wynosiła 32 sz. 10 p. wobec 32 sz. 2 p. w tygodniu poprzednim. Pomimo wzmagających się dowozów zamorskich ceny utrzymały się dość dobrze. — Warunki atmosferyczne sprzyjały robotom w polu. We Francyi przy pomyślniej pogodzie, wysiew jest jakby skończony. Ceny pszenicy i mąki utrzymały się. W Austro-Węgrzech obrót w handlu słaby, ceny utrzymały się. Zbiory Rumunii wynoszą, według danych urzędowych, 4,500,090 kwr. W Niemczech powietrze było mgliste i zimne, w niektórych okolicach temperatura spadła noją tak znacznie, że nastąpił mróz, który wszakże świeżym zasiewom nie wyrządził dotychczas szkody. Na rynku berlińskim interes zmniejsza się coraz bardziej, ceny były nieco zwykłe.

Humorystyka.

SŁOWO HONORU.

Niegdyś, gdy złego nawet pozoru
Unikał każdy o każdej dobie,
Wiele znaczyło słowo honoru,
Bo kto je wyrzekł, miał honor sobie.
Bez ważnych przyczyn nikt go nie dawał,
Pragnąc z sumieniem uniknąć sporu,
A dziś się ludzie biorą na kawał —
Przez zbeszczeszczone słowo honoru!

Nieraz przy bibie, gdy flaszek stosem
Już zawałono całą podłogę,
Woła biesiadnik stanowczym głosem:
Słowo honoru, ja pić nie mogę.
Ale po chwili, gdy stare wina
Więcej biboszom dają humoru,
Ze smakiem ciągnie je pocziwina
I djabli biorą słowo honoru.

„O mój aniele! szepce młodzieniec,
Gdy twoją piękną rączkę posiędę,
Gdy włożysz ślubny na główkę wieniec,
Słowo honoru — kochać cię będę“ —
Ale po ślubie, gdy żonki tata
Dość da posagu i bez oporu —
Miły mężulek do lata
I... djabli biorą słowo honoru.

Wekslarz, co zawsze chce bliźnich straty,
Mówi, gdy „Geschäft“ z frajerem zrobi:
„Na tej „pożyczce“ mojej na raty
Słowo honoru — dość pan zarobi“.
Ale niedługo, drapiąc się w głowę
Nabywca widzi w murach kantoru,
Że swych pieniędzy stracił połowę,
Bo djabli wzięli słowo honoru.

Adwokat ceni złoto i sławę
Więc mówi: marek nie skąp klientcie,
A wygram wkrótce twą słuszną sprawę,
Słowo honoru — wygram ją święcie!
Gdy klient koszta z góry pokrywa,
Rzecznik zaś wielki tylko z pozoru,
Lekceważoną sprawę przegrywa —
I... djabli biorą słowo honoru!

A wreszcie ludzie tacy, owacy,
Mówią bliźniemu, topiąc go w błędzie,
„Z mego towaru lub z mojej pracy
Słowo honoru — kontent pan będzie“.
Ale istotnie, jak sami wiecie,
Wy, co szukacie człowieka wzoru,
Mało jast dzisiaj ludzi na świecie,
Dotrzymujących słowa honoru.

Co to jest złoto?

Na lekyi nauczyciel pyta się ucznia:
— Mój chłopcze, powiedz mi co to
jest złoto?
Uczeń milczy.
— Masz racją milczenie jest — zło-
tem!

Dziesięcioro przykazań dla żony.

1. Pamiętaj nie mieć żadnych przy-
jaciół — oprócz własnego męża.
2. Nie nadużywaj imienia twego męża
i nie rób długów na jego rachunek.
Nie zakłócaj spokoju domowego o lada
drobnostkę.
4. Schodź mężowi z drogi, gdy zły
i jeżeli go się boisz, udawaj strach przed
jego gniewem.
5. Nie rozbijaj talerzy i garnków —
a przynajmniej nie na głowie męża.
6. Nie ozdabiaj głowy twego mał-
żonka w niepotrzebne akcesorya.
7. Nie okradaj siebie ni męża na
zdrowiu przez kłótnie i swary.
8. Nie mów nigdy źle o mężu, nawet
gdybyś miała dowody jego złych czynów,
bo co dziś jemu — jutro tobie zdarzyć
się może.
9. Nie pożądaj kosztownych i coraz
nowych toalet, jeżeli nie chcesz przypro-
wadzić męża do torby i kija.
10. Nie pożądaj nazbyt ani balów,
ani pikników, ni rautów.

*

— Ależ mój drogi, z tem paleniem
jesteś nieznośny, nawet przy robocie nie
wyjmujesz z ust cygara....

— Ej, nie urągaj mi droga żoneczko,
raczej chwal, że jestem tak pilny i nawet
podczas palenia pracuję....

Przy oświadczeniach.

— A będziesz mi też wiernym?
— Moja droga, a czy to ja jestem
prorokiem?....

Morderca.

(Niby bajka.)

Raz kogutki dwa młodziutki
Na skraju śmietnika.
Gwarząc, sarkając rozpoczęły
Gorzko na kucyka..

— „Łotrzyk! zbójca! wciąż piastuje
Urząd tutaj kata:
Tnie nam szyję — starym, młodym,
Z tego zglądza świata!“

— „Głupie, głupie z was młodziki,
Niewdzięcznego serca! —
Stary kogut rzekł kogutkom —
Jest gorszy morderca.

Niżli kucyk; większej jeszcze
I dumy, i buty:
Nasz śpiewalski, tenor znany —
On wciąż — „tnie... koguty!“

Z MOICH BAJEK.

Był dziennik, który nie dbał o prenume-
[ratę,
Był przechrzta — który nigdy „nie wsty-
[dził się tate“;
Był szynkarz — co namawiał do wstrze-
[mieźliwości,
Był hotel — który nie darł skóry ze swych
[gości,
Był tenor — co przenigdy nie uciał ko-
[guta,
Aktorka z intryżek i pirotek wyzuta.
Reporter — który kłamstwem pogardzał
[okrutnie,
Literat — w sytuacjach licencji nie utnie.
Gospodarz — komornego nigdy nie pod-
[wyższy,
I bankier — który prawi: „bratem mi
[człek niższy.“
Był tramwaj: — od rozkoszy konduktorzy
[tyli;
Kelnery — raz po raz ręce sobie myli.
Kucharka — nie wiedząc co to koszy-
[kowe;
Kumoszka — nadzwyczajnie ciężką miała
[mowę.
Nic tu niepodobnego, wszystko to być może!
Ja jednak takie rzeczy między bajki włożę.

KUJAWIAK.

Zadarłszy ogonka,
Chodzi po kurniku,
I zamknawszy oczy
Pieje „kukuryku“
Kogutek.

Ignac, kiej ów kogut
Dawniej wesół bywał,
W polu, czy też w chacie
Skakał wciąż i śpiewał
Szczęśliwy.

Miał kokoszkę kogut —
Zachciał Ignac żony;
Wziął i dzisiaj chodzi
Smutny i skrzywiony,
Nie śpiewa!

Bo kur, gdy kokoszka
Chce narobić krzyku,
W łeb ją wytnie dziobem,
Krzyknie „kukuryku“
I basta!

Ignacowi z babą
Tak się nie poszczęści,
Bo baba od niego
Jest silniejsza w pięści...
Złe mu więc!

— — — — —

S. Dekiert i Spł.

właściciel: STANISŁAW DEKIERT.

Poznań, ul. Wrocławska narożnik St. Rynku nr. 60.

Specjalny skład

porcelany, fajansu, szkła, lamp stołowych, wiszących, kuch., pajaków.

